W GDAŃSKU

P. W. S. P. w Gdańsku IV-5 1952

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

W NUMERZE:

G. TIMOFIEJEW — Krytyka i prasa pomagają pisarzom. T. PAPIER — Ostatnia podróż. T. MURAS — W sprawie czytelnictwa i bibliotek. M. JANION — „Dopływy" krytyki literackiej. A. KAMIEŃSKA — Jakiej powieści chciała wieś przed 6-laty. T. A. JASINSKI — Pierwsze Rady. A. SKIBA — U źródeł imperializmu amerykańskiego. L. GOMOLICKI — Portrety pepeerowców. W. WASILEWSKA — Rewolucja chłopska w powieści Kociubynskiego W. DRYGAS — Ob. Antosik. M. B. TOLSON — Czarna symfonia. AIME CESAIRE — Kolonizatorzy.

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX — Warszawa, dn. 10. II. 1952 r. — Nr 6 (340)

PIĄTEGO LUTEGO 1947 R.

5 lutego 1952 r. mija pięć lat od dnia, w którym Sejm Ustawodawczy RP wybrał Bolesława Bieruta na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z imieniem Bolesława Bieruta twórcy Krajowej Rady Narodowej, przewodniczącego KC PZPR i Prezydenta RP łączą się wszystkie najważniejsze wydarzenia ostatniego 10-lecia historii Polski — 10-lecia wiekopomnych przemian rewolucyjnych w dziejach narodu polskiego.

Jesteście spadkobiercami poprzedniczki Waszej — Krajowej Rady Narodowej, która tu w podziemnej Warszawie, wykuwała drogę, prowadzącą Naród do wyzwolenia, kierującą go na jedynie słuszny szlak, wiodący do zwycięstwa i wielkości.

Krajowa Rada Narodowa miała odwagę wzięcia na siebie historycznej odpowiedzialności za Polskę w chwili najzacieklejszej walki, jaką wypowiedział nam hitlerowski wróg. Miała śmiałość wskazania drogi błądzącej po manowcach polskiej myśli politycznej. Krajowa Rada Narodowa w przeciwstawieniu do programu jej przeciwników i wrogów rzuciła hasło zjednoczenia wszystkiego, co żywe i zdrowe w społeczeństwie, w dążeniu do wspólnego wszystkim i świętego celu wyzwolenia Polski i oparcia Jej bytu na trwałych niezniszczalnych fundamentach.

Myśl polityczna Polski znalazła teraz kierunek zgodny z interesem Narodu i Państwa, rysujący perspektywę wspaniałego rozwoju. Równocześnie to, co w ciągu wieków było naszą klęską, że narodem w znaczeniu pełni praw była tylko garstka, że lud pracujący pozbawiony był możności decydowania o własnym losie — to uległo zasadniczej, radykalnej zmianie.

Głębokie, zasadnicze reformy, jakie legły u podstaw odbudowującej się Polski, rozszerzyły pojęcie Narodu na miliony robotników i chłopów, nadały im po raz pierwszy w naszych dziejach pełne prawa świadomego uczestniczenia w tworzeniu materialnych i duchowych wartości, z których buduje się wielkość i szczęście Narodu.

Jeśli Kołłątaj i Kościuszko wołali, iż nie prędzej Polska będzie wolna, póki się lud nasz nie poczuje obywatelami we własnej Ojczyźnie, to dziś, po półtora wieku trwałej walce, możemy stwierdzić, że hasło to jest przez nas w pełni realizowane.

Jeśli najbardziej nawet surowo, ale bezstronnie Sejm Ustawodawczy oceni dotychczasową pracę i osiągnięcia od powstania Krajowej Rady Narodowej do chwili obecnej — odpowiedź może wypaść tylko jedna: w wielkiej bitwie z siłami zacofania, przywileju i wyzysku, z siłami niszczycielskimi — zwycięstwo odniosły siły postępu, siły twórcze. Zwyciężył Naród uosobiony w milionowych masach ludzi pracy, twórców i budowniczych...

Wasze prace nie będą tylko wskazaniami, nie będą tylko testamentem dla przyszłych pokoleń. Będą wykuwaniem w twardej skale nowego oblicza Polski, będą realną pracą, której każdy dzień będzie wydawał owoce.

Musicie skupić do tej pracy cały naród, zjednoczyć wszystkie siły...

Stoi przed Wami, Obywatele Posłowie, najszczytniejsze zadanie: opracowanie nowej konstytucji, konstytucji, która wcieli najpiękniejsze ideały polskich bojowników o wolność, a która wolna będzie od wad, jakich niemało widzieliśmy w naszej historii, konstytucja, która godna będzie bohaterskiego Narodu Polskiego...

BOLESŁAW BIERUT

(Fragment z przemówienia na Sejmie Ustawodawczym w dn. 5 lutego 1947 r.)

JÓZEF POGAN

Poza nami już straszna przeszłość

CZYTAJĄC i zastanawiając się nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nie mogę oprzeć się wzruszeniu i opędzić wspomnieniom z czasów przedwojennych.

Sam przecież urodziłem się w chałupinie, jaką u nas zwą kucką, urodziłem się z ojca „miotlarza" i matki „zagoniarki" i sam, gdy dorosłem, aby żyć, przyżeniłem się do zagonu i kucki grzebiąc dziecięce marzenia o nauce, grzebiąc młodzieńcze marzenia o pisaniu.

Sam przecież, kiedy w Polsce Ludowej rozniecilem w sobie zagrzebane iskry, stałem się kronikarzem dziejów tych z **ugorów**, tych **na głodnym przed wojną zagonie.**

Jakże więc, ma mi nie bić wzruszeniem serce, jakże ma mi pamięć nie wracać, dla porównania, straszną przeszłość, kiedy czytam Konstytucję, która odzwierciedla i zatwierdza nową rzeczywistość. O patrzcie...

W rozdziale „Ustrój polityczny" w art. 1 nowa Konstytucja postanawia, że Polska Rzeczpospolita jest państwem demokracji ludowej... że władza należy do ludu pracującego miast i wsi", w art. 3, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa stoi na straży zdobyczy polskiego ludu pracującego"... zapewnia rozwój i nieustanny wzrost sił wytwórczych kraju..., a w art. 4, że „prawa Polskiej Rzeczypospolitej są wyrazem interesów i woli całego ludu pracującego"...

A sens praw Konstytucyj przedwrześniowych był jeden, że robotnik, bezrolny oraz mało i średniorolny chłop nie mieli **żadnych praw.** I odzwierciedlały i zatwierdzały taki stan tamte Konstytucje. Ja tu rzucę garść wspomnień i przykładów z moich rodzinnych stron, niechby tak każdy uczynił w swoim sumieniu, jeśli nie publicznie, do czego ma prawo jako **Obywatel prawdziwie swojej dziś, ojczyzny.** Bo taki czyniąc rachunek wspomnień, każdy z nas dopiero głęboko pojmie nową Polskę — **republikę ludu pracującego.**

Do Sejmu Ustawodawczego w r. 1919 w naszym okręgu wyborczym przy poparciu okolicznych księży i bogaczy, przeszedł na posła bogacz z Sułoszowej, wnuk księdza Jagodzkiego. Sejmikiem powiatowym w Olkuszu trząsł oprócz starosty, dziedzic z Łaz, posiadający około 500 morgów ziemi, dr Marceli Truszkowski. On też był powiatowym prezesem Kółek Rolniczych w Olkuszu, on nadawał ton polityczno-gospodarczy całemu powiatowi. Wielkiej gminie Sułoszowa wójtował przez wiele lat pupilek organisty i księdza, klerykał i aktywny OZN-owiec, a późniejszy lizoń niemiecki, urządzający obławy na biedniaków, bogaty gospodarz, sklepikarz, dorobkiewicz, niejaki Skrzypek Franciszek. W gminie Zabierzów wójtował znów świętoszek, wierny przyjaciel okolicznych księży, stumorgowy kułak Kodura Jakub. Tak było w moich rodzinnych stronach i tak było na ogół w całej Polsce. Masy pracujące nie tylko były niedopuszczone do władzy na najniższym nawet szczeblu, ale nie mogły korzystać z żadnych praw.

Rozdz. 2 nowej Konstytucji gwarantuje stały rozwój sił wytwórczych kraju, nieustanne podnoszenie poziomu życiowego mas pracujących, wzmacnia spójnię gospodarczą między miastem i wsią, zapewnia nieustanny wzrost produkcji przemysłu państwowego... otacza opieką indywidualne gospodarstwa rolne i udziela im pomocy w celu ochrony przed wyzyskiem kapitalistycznym... itd.

A władze sanacyjne zamiast o produkcję, dbały wyłącznie o zyski kapitalistów zarówno przemysłowych, jak i agrarnych.

Znaczyło to, że miliony chłopów na mało i średniorolnych gospodarstwach upadało w produkcji do prymitywu i samowystarczalnej gospodarki. Inwestycje, protekcje cłowe, odpłaty i nadpłaty oraz nauka, wszystko to było na usługach obszarniczych majątków i u **brzeżku kapitalistycznego stołu również dla kułaków. Na przykład na polach dziedzica Truszkowskiego w Łazach rosły tak piękne zboża, ziemniaki** i buraki, że chłopi aże z sąsiednich wiosek chodzili oglądać napęczniałe grubym ziarnem graniaste kłosy. Takie też zboża rosły na polach stumorgowego Żurawskiego i Kodury, na polach sześćdziesięciomorgowego Papiza, prezesa miejscowego Kółka Rolniczego Mirka Józefa i innych bogaczy. A jaka była wydajność przeciętnego rolnika? Jak rozwijały się siły wytwórcze na wsi milionowych chłopskich mas?

Nawała ściągania zaległych podatków zaczęła się w r. 1930. Ale tysiączne zaległości w majątkach książąt Czartoryskich w Smardzowicach i Ojcowie nie były ściągane, o co toczyła się bezskuteczna walka w Radzie Gminnej w Cianowicach. Dziedzic Ślizowski z Wierzchowia zawsze przepędził sekwestratora i pomocnych mu policjantów. Dziedzic Półtorak z Będkowic zawsze uzyskał u władz protekcję dla anulowania podatków. Poborcy rzucili się masowo na średniaków i biedniaków, którzy nie mając z czego płacić podatków, zalegali, wyczekując jakiejś zmiany: rewolucji czy wojny. Znane były powszechnie upomnienia kosztujące po 1 zł. 50 gr., gdy ktoś miał ziemię w kilku miejscach (a tak było z biedniakami), koszty upomnień pomnażały się o ilość tych głodnych zagonów, dochodziły z kolei nowe koszty za zajęcie ruchomości, następnie za ogłoszenie licytacji, a wreszcie za licytację. Zdarzały się częste wypadki, że koszty egzekucyjne przewyższały **dziesięciokrotnie** podatek. I co by biednemu chłopu przyszło z wysłuchania prelekcji dziedzica Truszkowskiego czy instruktora rolnego o należytej uprawie ziemi, doborowym ziarnie siewnym, stosowaniu nawozów i pielęgnowaniu roślin.

Nic też nie przyszło, bo te kółka i prelekcje były nie dla niego, dla **„trzęsirządców" wsi, bogaczy Żurawskich,** Kodurów, Papizów i ich podopiecznych „świderków", wkręcanych w gromadę zagoniarzy, aby tłumić złorzeczenia i bunt. A gdyby zagoniarze i małorolni posłyszeli te „piękne" prelekcje, odczuliby je jak pośmiewisko, skoro zmuszeni byli co roku siać oziminy w listopadzie, jare zboże w maju, a ziemniaki sadzić w końcu maja i w czerwcu. To się nazywało przed wojną rolnictwem, wytwórczością. Nie będę tu przypominał, jak ci ludzie żyli, przez wszystkie moje książki ciągnie się ich tragiczny pamiętnik. Ale i teraz nie zmilczę garści przykładów, dokumentów życia, które gnało w śmierć.

W okresie kilku lat przed wojną w samych tylko Będkowicach zmarli przedwcześnie wskutek choroby spowodowanej nędzą: Kowalski Franciszek, Kowalska Krystyna, Paczyński Jan, Goden Zofia, Nowara Władysława, Szostek Jakub, Mitka Szczepan, Czapla Stanisław, Ludwik i Paweł, Sroka Piotr, Juraszewski Józef, Żurek Andrzej, Jarosz Józefa, Mirek Anna, Brandys Jan, Czapla Rozalia, Leśniak Piotr, Siudek Anna i kilkoro innych dorosłych ludzi, których sobie nie mogę już przypomnieć, a których śmierć nastąpiła wyłącznie z powodu **nędzy życiowej. Brat mój Franciszek** przemroził się w pracy u młynarza Florczyka i zmarł w 20-tym roku życia; bracia Jan i Władysław nabawili się reumatyzmu w pracy na tzw. „bieda-szybach", gdy ich zredukowano w kopalni. A ile małych dzieci?... Z nędzy też powiesił się Siudy Józef w Będkowicach, Karcz Maria zwariowała, a Sokół Jan, służący u młynarza Florczyka, popełnił samobójstwo. Jest też kilka kalek z powodu reumatyzmu, przeziębienia i innych nabytych w nędzy chorób. Wspominam tę śmiertelną litanię dlatego, abyśmy jasno widzieli, jak pierzchła zmora ustroju kapitalistycznego w Ludowej Polsce. Jak po siedmiu latach wzdrygnąć się musi czytelnik nad tą litanią śmiertelną, tak już wydaje się nieprawdopodobna, ale dopiero dzisiaj, kiedy obalona została władza obszarników i kapitalistów.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej otacza opieką również indywidualne gospodarstwa, uznaje i gwarantuje prawa dziedziczenia ziemi, a dobrowolnie powstającym spółdzielniom produkcyjnym udziela szczególnego poparcia.

Zielniku Pawle! Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Rybnej, pow. Tarnowskie Góry, gdzie na polach indywidualnych gospodarzy urosły tak piękne zboża, jak na waszych spółdzielczych? Odbudowaliście też w krótkim czasie zniszczony przez wojnę pański pałac, który wam służy na biura spółdzielni, na świetlicę, magazyn dla spółdzielczości itp. **potrzeby gospodarcze.**

Dojarzu Pilarski ze spółdzielni produkcyjnej w Nowej Bzinicy, pow. Lubliniec! Czy widzieliście gdzie piękniejsze cielęta, jak w waszej spółdzielni?! Słyszycie: nowa Konstytucja gwarantuje wam szczególną opiekę i poparcie! Reakcja przeliczyła się w swej przewrotnej propagandzie, wy natomiast nie ustajecie w pracy, dążąc do coraz lepszych wyników. I coraz mocniej pociągając swom przykładem chłopów z innych wsi.

Rozdz. 7 Konstytucji mówi szeroko o prawach obywateli. Nie miał przed wojną żadnego prawa taki biedniak F. ze wsi Szklary, którego młynarz K. B. zastrzelił jak psa, podczas zbierania chrustu w lesie i nie był za to karany, ani rodzinie zabitego nie płacił na utrzymanie, ani Goden z Kawior, którego rządca Karniowickiego dworu zbił śmiertelnie, podczas zbierania grzybów w lesie, że chłopina długi czas chorował, ani fornale dziedzica Ślizowskiego w Wierzchowiu, gdy ich za co bądź bił brutalnie. O, takie przykłady można by wytrząsać jak z rękawa.

Tenże rozdz. w następnych artykułach postanawia o wypoczynku, o urlopach, o wczasach, uzdrowiskach, o ochronie zdrowia, o nauce, o kulturze, o rozwoju literatury, sztuki, o otaczaniu opieką inteligencji twórczej itd. Przy czytaniu tych ustępów Konstytucji ogarnia mię głębokie wzruszenie. Rodzice moi byli analfabetami, jak wszyscy niemal równi im latami wieśniacy. Dzieci też tyle tylko posyłali do szkoły, by się nauczyły przeczytać książkę do nabożeństwa, tak też było w naszej rodzinie. Po co **kształcić dzieci?** ...Jeszcze podczas okupacji niemieckiej eksmagnatka inż. Rościszewska Janina, która wydała książkę i pretendowała do miana sławnej literatki, mówiła mi, że „nie ma nic gorszego, nad trochę wykształconego człowieka, bo z braku głębszej wiedzy o życiu będzie niesłusznie zamożnym ludziom zazdrościł majątku, wyższej nauki i będzie się przeciwko nim niesprawiedliwie buntował".

Ukończyłem 3 klasy szkoły powszechnej, po czym nędza wypędziła mnie na wyrobek do kułaków. W ciągłych zmartwieniach i rozmyślaniach nad niesprawiedliwością społeczną w świecie poduczyłem się czytaniem i zacząłem próbować pisania wierszy i artykulików. Przez kilka lat w nieludzkim ustroju społecznym daremnie marzyłem o realizacji mych pragnień — o twórczości literackiej. I gdyby nie Rząd Polski Ludowej, byłbym nadal tym, czym byłem dawniej w **kuczce na zagonie, „cepakiem"** i wyrobnikiem u kułaków za marne grosze! A to przecież było nie tylko moją osobistą tragedią — było tragedią setek, tysięcy utalentowanych biednych ludzi, grzęznących w bagnie i zapomnieniu. W podojcowskiej okolicy próbowali daremnie pióra: M. Wojdała ze Smardzowic, J. Cyra z Przybysławic, W. Walczak z Czajowic, Nabagłówna z Jerzmanowic, P. Mirek z Łaz, S. Skrzyniowska z Białego Kościoła. A ile z innych dziedzin zaprzepaściło się talentów! Tu znalazł się samorodny rzeźbiarz - świątkarz, tam malarz, muzyk, gdzie indziej mechanik ślusarski, konstruktor. Co młodsi i wytrwalsi, wystartowali w Polsce Ludowej. Reszta talentów zmarnowała się w błocie sanacyjnego ucisku!

Nazwano mnie w pierwszych latach po wojnie pisarzem **biedniackim.** Zaszczyt to dla mnie niemały, ale nie w pełni na niego zasłużyłem. Boleść moją i setek tysięcy podobnych, najniżej do ziemi przygiętych, chciałem wyrazić za siebie i za nich, aby jeszcze jeden dokument świadczył w nowym naszym życiu od czegośmy się wyzwolili. I zanadto w tym ugrzęzłem. W walce i twórczej pracy rozwijało się nowe nasze wielkie życie, a ja wciąż jeszcze wydobywałem z zapiekłej pamięci tamtą kronikę, tamten pamiętnik. Ale jestem biedniackim pisarzem i piszę już o nowym w życiu dawnych zagoniarzy, o ich urzeczywistnianiu w walce i pracy wielkich idei socjalizmu, całkowitego zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka na wsi. O, Konstytucjo! która w odzwierciedleniu nowego życia narodu jesteś treściwsza i bogatsza od dzieł wszystkich pisarzy, bądź moim natchnieniem razem z nowym życiem.

Józef Pogan

IGOR SIKIRYCKI

ZIEMIO MAZURSKA!

(fragment poematu)

1.

Ziemio mazurska, ziemio ciszy
Rzeźbiona ostrym kłem lodowca
Jeszcze odgłosy epok słyszysz,
W których surowy kształt twój powstał.

Czujesz jak w słońcu się przegina
Lód, który w ciało twe się worał.
Widzisz jak martwe dno kotliny
Wypełnia żywa toń jeziora.

A obok sosny, pierwsze sosny
Z których żywiczne krople płyną
Po to, by w tobie gwiazdy rosły
I człowiek nazwał je bursztynem.

Słyszysz, jak cicho pełznie strumień
Ze zbocza w puszczy chmurną zieleń —
Ale i tam go znaleźć umie
Spragniona sarna albo jeleń.

A ponad tobą w blaskach zorzy,
Która sosnowe pnie rozżarza,
Srebrnym obłokiem zwisa orzeł,
Jakby na skrzydłach niebo ważył.

Ziemio mazurska, ziemio ciszy
Rzeźbiona ostrym kłem lodowca,
Jeszcze odgłosy epok słyszysz
W których surowy kształt twój powstał.

2.

Sosno mazurska, smukła sosno
Oparta cieniem w mrocznej wodzie,
Topór Jadźwinga twoim siostrom
Tu kiedyś nadał kształty łodzi.

Tu za rybakiem biegła trwoga,
Którą dostrzegał w oczach łani,
Kiedy po bursztyn jechał bogacz
Z piersią okutą w brąz — Rzymianin.

Jeszcze nie ostygł popiół ognisk
I śladów kół nie zmyło w jarach,
A już na drodze blask pochodni —
Za Rzymianinem przyszedł Arab.

Ileż tu razy chłop przy radle
Trafiony strzałą w pas się zginał,
Kiedy mu plony i osiedla
Zakryła ogniem dłoń Litwina.

Stąd się unosił dym w obłoki,
Jak stado kruków ponad lasem,
Kiedy Tatarzyn skośnooki
Po wydmach branki pędził w jasyr.

Czernieją jeszcze murów ślady,
W które północny wiatr się wgryza
Tu, gdzie w czas walki i zagłady
Żelazną stopę oparł Krzyżak.

3.

Pieśni mazurska, pieśni szczera
Do dzisiaj jeszcze przypominasz
Czas, w którym książę sponiewierał
Odwieczne prawa włościanina.

Kiedy to groźny pan z zamczyska
Wydzierał chłopu plon i polów
I nawet psom ochłapy ciskał
Ujęte brzegom wiejskich stołów.

Ileż to razy milkłaś pieśni,
Jak ptak, którego grom przestraszył,
Gdy u stolarza lub u cieśli
Szpony szubienic ostrzył faszyzm.

Aż nadszedł wreszcie dzień zapłaty.
Na trakt, na każdą ścieżkę polną,
Czerwonej Armii pęd skrzydlaty
Pieśń nową przyniósł — pieśń i wolność.

Rozbrzmiewaj pieśnią wolna ziemio.
Wtóruj jej olcho, jodło, sosno —
Zbudźcie jeziora — niech nie drzemią,
Niech szumią z wami pieśń radosną.

Śpiewaj mazurski traktorzysto.
Po swojej ziemi traktor wodzisz.
Słyszysz jak w mroku dzwoni przystań?
— Na nocny połów płyną łodzie.

IGOR SIKIRYCKI

Portrety Pepeerowców

TOWARZYSZKA „WERA"

Rys. H. Jarosz

SZCZUPŁA, jasnowłosa, ruchliwa prządka o niebieskich oczach — taką ją pamiętali towarzysze zbierający się na narady w mieszkaniu Wedmanów. Tu był podpunkt partyjny, przez który przechodzili delegaci centrali, nocujący nieraz na jednym łóżku z gospodarzem; tu zwożono i stąd rozprowadzano bibułę partyjną.

Rodzice Marii byli robotnikami, jak i ona sama, jak i jej mąż, kapepowiec od chwili powstania Partii. Zawsze uśmiechnięta, otaczającą serdeczną gościnnością przybyszów, o których wiedziano tylko tyle, że byli to towarzysze bez reszty oddani walce. Maria przysłuchiwała się ich rozmowom, choć sama na razie nie brała czynnego udziału w robocie. Ukończyła zaledwie cztery czy pięć oddziałów szkoły powszechnej, lecz wrodzone zdolności i życie robotnicze ukształtowały jej umysł. Odznaczała się niezwykle dobrą pamięcią. Raz przeczytawszy tekst odezwy umiała powtórzyć od początku do końca. Reszty dopełniły „studia", do których okazji dostarczało ich mieszkanie. Na razie gromadziła tę wiedzę w głębi swej świadomości, aby w pewnym momencie ujawnić się niespodziewanie, jako wybitna na terenie łódzkim działaczka Polskiej Partii Robotniczej.

Wedmanowie mieszkali na Chojnach, za torem kolejowym. Kiedy przenieśli się na drugą stronę toru, na ulicę Szymanowicza, córeczka ich, Aldonka, miała już dwa lata. Było to ich drugie dziecko. Starszy syn zmarł jeszcze na Pryncypalnej.

Aldonka wzrastała w atmosferze gorączkowej roboty partyjnej, prowadzonej w konspiracji.

Wysoki, o zapadniętych oczach „wujek" „Władek" często brał dziewczynkę na ręce, podnosił wysoko w górę i udawał, że chce ją rzucić na łóżko. Aldonka, przyzwyczajona do obcych ludzi, śmiała się głośno. „Wuj" sadowił dziewczynkę na kolanach i poprawiał na czubku jej głowy dużą kokardkę i zaczesaną na czoło grzywkę. Aldonka lubiła, kiedy „wuj" „Władek" nocował u nich. Był to okres, kiedy „Władek" (Przybyszewski) znów zjawił się w Łodzi.

Wybuchła wojna. Wedman, z grupą towarzyszy, próbował przedostać się do Związku Radzieckiego. Wkrótce jednak wrócili wszyscy, zdecydowawszy, że są bardziej potrzebni na miejscu. Z początku tworzyli luźną grupę. Potem, po utworzeniu PPR, związali się z resztą terenu łódzkiego i z Warszawą. Wtedy to ujawnił się talent krasomówczy Marii. Przemówienia jej, którym dodawał sugestywności namiętny ton, działały na słuchaczy niezwykle przekonywująco. Obok męża stała się ona organizatorem Dzielnicy Górnej i jej sekretarzem. Potem wybrano ją na członka Komitetu Łódzkiego, gdzie pracowała pod pseudonimem „Wera".

Przez mieszkanie na Szymanowicza przewijali się wciąż nowi ludzie, werbowano nowych członków i bojowników Gwardii Ludowej, zbierano składki na fundusz prasowy, obligacje Daru Narodowego, uczono obchodzić się z bronią. Organizowano punkty tajnego nauczania dzieci. Myślano o partyzantce, a więc o broni, o materiałach łatwopalnych i wybuchowych, o lekach i opatrunkach, o ciepłym ubraniu.

Niedaleko, na Smoczej, okupanci uruchomili fabrykę swetrów dla żołnierzy. Grupa towarzyszy zorganizowała napad na fabrykę i wyniosła trzy walizy swetrów. Żandarm, który stał na warcie, zaczął strzelać z broni automatycznej. Towarzysze ukryli się w mieszkaniu Krappowej, na tej samej ulicy, o dziesięć domów dalej. Swetry zostały u Krappowej. Kilka z nich udało się rozdać towarzyszom. Parę miesięcy przedtem, z obozu jeńców zbiegli dwaj lotnicy radzieccy — Arkadiusz i Saszka. Ukrywali się w mieszkaniach peperowców i planowali wspólnie z nimi zorganizowanie grupy partyzanckiej. W niedzielę „Władek" miał przyjść do Krappowej razem z Arkadiuszem po walizkę ze swetrami. Krappowa zaprosiła ich przy okazji na obiad.

Kiedy weszli do pokoju, usłyszeli okrzyk:

— Hände hoch!

W mieszkaniu Krappowej gestapo przygotowało zasadzkę. Jednocześnie czterech gestapowców udało się do mieszkania Wedmanów. Wedman przed chwilą wrócił do domu i nie zdążył jeszcze wyjąć z kieszeni gazetki, Maria stawiała na stole talerze. Ośmioletnia Aldonka bawiła się ze starszą od siebie córeczką sąsiadki. W tej chwili czterej gestapowcy weszli do pokoju: dwaj z nich wydobyli rewolwery, dwaj zaś rzucili się na Wedmanów, aby skuć im ręce kajdankami.

Przestraszone dziewczynki ukryły się w kącie za otomaną, na której leżały porzucone lalki. Wedmana ze skutymi z tyłu rękami, posadzono na krześle, obok Marii, również zakutej w kajdany.

Czekając na auto gestapowcy rozgościli się w pokoju. Aldonka podeszła do ojca i dotknąwszy ręką jego głowy, zapytała cicho:

— Tatusiu! boli cię?

— Tatuś ma gazetkę w lewej kieszeni spodni — szepnął Wedman. — Wyjmiesz ją stamtąd. Idź, najpierw włóż paletko, łatwiej będzie: schowasz w paletku...

Na ulicy zawarczał motor samochodu. Była to kryta plandeką buda, tak dobrze znana z łapanek, rewizji, masowych aresztowań i innych „akcji" gestapo. Kiedy Wedmanowie weszli po żelaznej drabince do wnętrza budy, siedziało już tam między gestapowcami dwóch innych aresztowanych. Byli to „Władek" i Arkadiusz...

Po „badaniach" — torturach w gestapo, odwieziona do więzienia na Gdańskiej i wrzucona tam do celi, towarzyszka „Wera" odebrała sobie życie. Bała się tortur i tego, że nie wytrwa. Lepiej było zginąć, niż wydać na śmierć towarzyszy.

Leon Gomolicki

LEON KOCZASKI

KOCZASKI przed służbą wojskową, pracował w biurze Allarta, w charakterze księgowego. Syn kolejarza, magazyniera na dworcu Łódź Kaliska, ukończył szkołę handlową i wkrótce po tym trafił do więzienia. A stało się to tak. Po ukończeniu szkoły wyjechał na wakacje do kolegi, który mieszkał na Wołyniu, przy samej granicy Związku Radzieckiego. Tu działał wówczas KOP i osadnictwo, panoszył się szowinistyczny terror piłsudczyzny. Nie zdążył jeszcze Koczaski rozejrzeć się dobrze w tamtejszych stosunkach, gdy w nocy zjawił się u niego patrol i zaprowadził go na strażnicę. Stamtąd w godzinach rannych, odtransportowano go do komisariatu policji.

Na wolność wyszedł Koczaski po trzech miesiącach i wówczas dopiero dowiedział się, że siedział za „usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy". Wróciwszy do Łodzi, zgłosił się do kolegi, o którym wiedział, że należy do Partii i oznajmił mu, że pragnie nawiązać z nim bliższy kontakt.

Niebawem Koczaski powołany został do wojska. Były to lata kryzysu i strajku powszechnego. Nastroje wśród żołnierzy, maltretowanych przez kaprali i oficerów, były wtedy tak podminowane, że władze, sprowadzając na czas strajku policję i podchorążówkę z innych miejscowości, wysłały na „manewry" pułk artylerii kwaterujący w Łodzi. W tym właśnie pułku służył Koczaski. Znalazł on tu wkrótce ludzi myślących podobnie jak on. Przez towarzyszy, z którymi był w stałym kontakcie, otrzymywał literaturę. Stworzona przez niego w koszarach komórka komunistyczna została jednak wykryta. Sąd skazał Koczaskiego na osiem lat więzienia z pozbawieniem praw obywatelskich. Przesiedział dłuższy czas na Gdańskiej, później przeniesiono go do Łęczycy. Pierwszego dnia pobytu w więzieniu odmówił włożenia stroju więziennego, noszonego przez kryminalnych i zorganizował głodówkę „politycznych". Okrutny reżim więzienia sanacyjnego brutalność strażników, stosowanie bicia, a nawet strzelania do więźniów — nie tylko nie złamały Koczaskiego, lecz jeszcze bardziej go zahartowały. Siedząc w jednej celi z kryminalnymi, uczył niepiśmiennych alfabetu. Zyskawszy sobie wśród więźniów autorytet, dzięki swej postawie moralnej, Koczaski opowiadał im o strajkach, o walce robotników z ustrojem kapitalistycznym, o rewolucji.

Kiedy po odbyciu kary Koczaski przyjechał do Łodzi i wysiadł na dworcu Kaliskim, był marcowy słoneczny dzień. Nie wiedział, czy może pójść do domu, czy na drugi dzień po jego powrocie ojciec nie będzie wyrzucony z pracy. Na Karolewskiej zauważył z daleka, tak dobrze znane mu z dzieciństwa, szerokie zgarbione plecy. Kiedy dopędził idącego i dotknął jego ręki, ojciec raptownie przystanął i nie od razu poznał syna w wysokim, łysawym mężczyźnie o obrzmiałej twarzy. Obejrzał się ostrożnie dokoła, potem ścisnął łokieć Leona, przyłożył niegolony policzek do jego policzka i zapytał tak, jakby syn wracał do domu po wakacjach:

— Przyjechałeś?

Leon chciał zapytać o matkę, o rodzeństwo, lecz zamiast tego powiedział:

— Tato, powiedz mi po prostu, czy mogę iść do domu?

Oczy ojca niespokojnie zamrugały:

— Ależ, dziecino... cóż ty... No, naturalnie...

Leon jednak nie poszedł wprost do domu. Po drodze skręcił na cmentarz. Podczas kiedy on siedział w więzieniu, zmarł na gruźlicę jego najbliższy przyjaciel, organizator karolewskiej organizacji kopepowskiej, Wacek Głażewski. Cmentarz był mały i Leon łatwo odnalazł grób. Leżał na nim już płaski prostokątny kamień z napisem: „Zmarłeś, ale idea twoja żyje". Przy tym kamieniu odbywały się później tajne narady komunistów, a podczas okupacji pierwsi peperowcy i żołnierze Gwardii Ludowej składali tu przysięgę.

Po wyjściu z więzienia praca zarobkowa stała się niedostępna dla Koczaskiego. Wówczas całkowicie oddał się robocie partyjnej. MOPR-owi, redagowaniu odezw a nieraz i pisaniu ich odręcznie, pracy wśród młodzieży, wśród robotników. Na tym terenie, wśród ludzi oddanych sprawie partyjnej, poznał swoją przyszłą żonę. Była to kapepówka z koła Głażewskiego. Pracowała jako robotnica w szwalni Plichala. Wysoki, z lekka garbiący się teraz, nazywał ją „mała". Pobrali się na początku roku 1939. W listopadzie urodził się im syn, Grisza. Koczaskiego nie było wtedy w Łodzi. Kiedy sanacja uciekła za granicę, Leon razem z innymi walczył o wolność ojczyzny. Prawie bezbronna, opuszczona przez dowództwo grupa żołnierzy, do której dołączył się Koczaski, dostała się do niewoli. Po trzech miesiącach, wracając zwolniony z obozu, w drodze z dworca wstąpił do rodziny kolegi i tam dowiedział się, że ma syna...

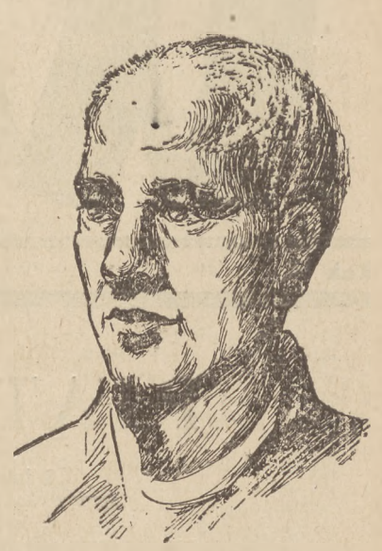

Rys. H. Jarosz

Rozpoczął się ciężki okres okupacji. Towarzysze naradzali się, projektowali ucieczkę do Związku Radzieckiego. Leon powiedział stanowczo:

— Tu również będą potrzebni ludzie.

Nie było jeszcze wówczas organizacji wiążącej, ogólnym planem działania, poszczególne, samorzutnie powstające w różnych dzielnicach miasta grupy komunistów. Z tym większą radością powitano powołaną do życia Polską Partię Robotniczą. W mieszkaniu Koczaskich drukowano na powielaczu odezwy, których tekst układał Leon. Tu odbywano narady. Obok powielacza stał wózek z niemowlęciem — drugim dzieckiem Koczaskich, spokojną dziewczynką, zaledwie o rok starszą od nowopowstałej Partii. Grisza zmarł po pierwszej surowej zimie okupacyjnej. Po wsypie Leon wyjechał z miasta i przez pewien czas ukrywał się pod fikcyjnym nazwiskiem w Poznaniu. Kiedy i tam gestapo zaczęło deptać mu po piętach wrócił do Łodzi.

Był maj 1943 roku.

Tego dnia właśnie na Karolewie i w Retkini od rana trwała obława.

Okrężną drogą, z trudem ciągnąc za sobą nogi i przezwyciężając silny ból głowy, Leon dotarł do ciotki, która mieszkała na Kątnej. Przez nią dał znać swoim, że wrócił i prosił, by przygotowano dla niego kryjówkę. Miał czterdzieści stopni gorączki. Żona i matka postanowiły ukryć go w domu. Chałupa nie miała piwnicy. Wycięto w podłodze kwadratowy otwór. Nocami kobiety kopały i wynosiły po kryjomu ziemię. W ten sposób powstała jama, którą wyścielono kocami i materacem. Później przechowywano w niej broń. Również w nocy przeprowadzono Koczaskiego do domu. Kryjówka miała służyć na wypadek obławy. Gdy było spokojnie, Leon leżał w łóżku, ukryty wraz z głową pod kołdrą, aby nie było słychać kaszlu, który go męczył. Córeczka już zaczynała chodzić. Uśmiechała się do ojca, wyciągała do niego rączęta. Pokój zamykano na klucz. Sąsiedzi domyślali się, że za drzwiami Koczaskich, coś się kryje. Pewnego razu nad ranem przed domem zatrzymało się auto. Leon szybko się ubrał i przesiedział kilka godzin w zimnej, wilgotnej jamie, póki zagadkowy samochód nie odjechał w stronę miasta. Po tym wypadku ukryto Leona w mieszkaniu towarzyszy, które znajdowało się po przeciwnej stronie ulicy. Żona nie mogła go tam odwiedzać. Towarzysz kilka razy przynosił na rękach dziewczynkę. Ale dziecko samo zaczęło wyrywać się z domu i biegło wprost na drugą stronę, do „taty". Nie można było ryzykować dłużej, tym bardziej, że Leon wyzdrowiał i czuł się już zdolny do dalszej pracy. Postanowiono wyprawić go na robotę do Warszawy.

— Nie wiem, czy zobaczymy się jeszcze — mówił żegnając się z przyjacielem. — Ale zobaczymy to, o co walczymy.

Koczaski nie wrócił już do Łodzi. W Warszawie otrzymał nowe zadanie i zginął pod Radomiem, od zdradzieckiej kuli polskiego faszysty, NSZ-owca.

Ale idea, za którą poległ w surowej walce, przeżyła, aby wkrótce odnieść swe ostateczne zwycięstwo.

Leon Gomolicki.

WŁADYSŁAWA WASILEWSKA

Rewolucja chłopska w powieści Kociubynskiego

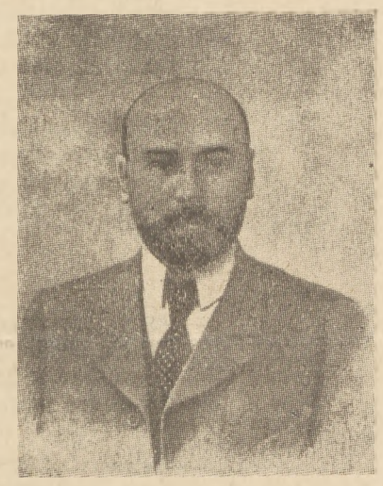

Mychaił Kociubynski

NA PÓŁKACH księgarskich ukazał się ostatnio przekład świetnej powieści Mychajła Kociubynskiego pt. *„Fatamorgana"* *).

Fakt udostępnienia polskiemu czytelnikowi czołowego utworu klasyka prozy ukraińskiej jest okazją do nieco szerszego omówienia działalności twórczej M. Kociubynskiego (1864—1913), która była dotychczas zupełnie u nas nieznana.

Linia pisarskiego rozwoju autora *„Fatamorgany"* przebiegała odmiennie niż linia twórczości niektórych współczesnych mu pisarzy polskich, jak np. Reymont, Berent czy Orkan. Ta ostatnia kształtowała się pod naciskiem ideologii burżuazyjnej, a głównie nacjonalistycznej; zgodnie z historycznym procesem uwsteczniania się mieszczaństwa jako klasy — najbardziej realistyczne widzenie rzeczywistości przypada u tych pisarzy na wczesny, początkowy okres ich twórczości — przejawami krytycznego stosunku do warunków życia polskiego w ustroju kapitalistycznym są więc przede wszystkim pierwsze nowele chłopskie Reymonta z *„Tomkiem Baranem"* na czele, *„Fachowiec"* Berenta i *„Komornicy"* Orkana. Dalsze dzieje wymienionych pisarzy mówią o odchodzeniu z postępowych pozycji ich młodości, o wzrastającym w miarę upływu lat mitologizowaniu i fałszowaniu przez nich obrazu życia.

Inaczej u Kociubynskiego. Droga jego twórczości wznosi się w górę, pisarz bowiem znajduje się w bliskim kontakcie z masami ludowymi carskiej Rosji, wśród których dojrzewa rewolucja. Kształtując swą ideologię w oparciu o doświadczenia i rosnącą świadomość chłopów i robotników Ukrainy, autor *„Fatamorgany"* osiąga coraz szersze horyzonty społeczne, a zarazem i możliwość coraz bardziej realistycznego patrzenia na stosunki w imperium rosyjskim, na losy wyzyskiwanych mas chłopskich, na perspektywy przyszłości. Czołowe utwory Kociubynskiego przypadają na końcowy etap jego pisarstwa, związany z rewolucją 1905 roku, a ostatnia powieść — *„Fatamorgana"* — jest dziełem twórcy, niemal już całkowicie dojrzałego ideowo i artystycznie.

Lata 1903—13, okres wzrostu fali rewolucyjnej, rewolucji 1905 roku i porewolucyjnej reakcji, to lata krystalizacji ideologicznej artysty i czołowych jego osiągnięć na polu literackim. W tym czasie powstaje *„Fatamorgana"*. Niestety, było to również ostatnie dziesięciolecie życia Kociubynskiego. W latach 1909-12 Kociubynski podczas pobytu na Capri poznał Gorkiego, czerpiąc z tej znajomości pomoc i radę i ulegając zarazem silnemu wpływowi wielkiego twórcy *„Matki"*. Szczególnie mocno odbiło się to na części II *„Fatamorgany"*. Zarówno dzieło to, jak i napisane w latach reakcji stołypinowskiej opowiadania: *„Śmiech"*, *„W drodze"*, *„Persona grata"*, *„Konie nie są winne"* określają stanowisko Kociubynskiego jako pisarza, który staje bezwzględnie i konsekwentnie po stronie walczącego ludu. Wiąże on nadzieje na przyszłość z *„powszechnym powstaniem, które zmiecie cały stary polityczny porządek"*, ostro demaskuje ludobójczą praktykę caratu, reakcyjną rolę liberalnej inteligencji i strach mieszczaństwa przed siłą ludu, przeprowadza krytykę literatury dekadenckiej. Zarazem ten wielki humanista wydobywa prawdziwe skarby uczuć z jednostek upośledzonych i zżartych nędzą, budzi w nich ogień buntu i nienawiści do ciemiężycieli, który w powieści *„Fatamorgana"* zapłonął takim pożarem chłopskiej rewolucji, jakiego do dziś nie zna literatura polska.

„Fatamorgana", epopeja walki chłopstwa w czasie rewolucji, składa się z dwu części: pierwsza powstała w r. 1903, druga — po przerwie — w r. 1910. Powieść oparta jest na autentycznych zdarzeniach z gubernii czernihowskiej. Kociubynski, zbierając materiały do utworu, skrzętnie wynotowywał je z gazet oraz z akt specjalnej komisji dla sądzenia zbuntowanych chłopów i stworzył między innymi na ich podstawie obraz życia chłopskiego w przededniu i w czasie rewolucji.

Część pierwsza stanowi jakby prolog nadchodzących wydarzeń. Przesuwają się w migawkowych obrazkach typowe postacie bohaterów utworu, ich troski i marzenia. *„Główna rzecz w tym* — pisał w planie utworu Kociubynski — *że wszyscy żyją jakimiś nadziejami na lepsze, a tymczasem rzeczywistość je rozwiewa"*. Rzeczywistość wsi to nędza biedniaków, praca u bogaczy, niespełnione nadzieje na dobrowolny podział ziemi przez panów, głód i nieurodzaj, przemoc policji. Dzieje rodziny Wołyków ukazują podstawowe przesłanki chłopskiej rewolucji: pragnienie ziemi i poprawy losu, nienawiść do dworu, beznadziejność bytowania.

Ale na tym nie kończy się, lecz dopiero zaczyna ostrość społecznego widzenia Kociubynskiego. Część II utworu daje łącznie z częścią poprzednią pełny obraz wsi ukraińskiej na początku wieku. Ukazana jest tu pewna ograniczoność chłopskich pragnień i niekierowanego chłopskiego buntu. Nawet w przedstawicielach biedoty wiejskiej (Małanka) tkwi mocno „druga dusza" — chłopskiego posiadacza, a i ci, którzy (Andrij) myślą o zarobku w fabryce, pragną tylko „spokojnego" żywota. Wieś w powieści jest w pełni zróżnicowana klasowo. Ponury i mroczny kułak Pidpara i jego teść Hawryło przewodzą nielicznej grupie kułackiej; obóz średniaków i w większości zdezorientowana część biedniacka są chwiejne w swej postawie: w momencie wzrastania i szczytowego napięcia nastrojów rewolucyjnych przyłączają się gorąco do walki, lecz kiedy przyjdzie odpowiadać za bunt i spalenie gorzelni, uciekną się jednak pod rozkazy Pidpary i wykonywać będą uprawnione przez carat krwawe samosądy nad przywódcami rewolucji. Kociubynski piętnuje ostro nieludzkie warunki życia w carskiej Rosji, które doprowadzały do zezwierzęcenia ludzi, które utrzymywały większość ludności w bezustannym strachu.

Na czoło powieści mocno wysuwają się postacie przywódców. Skupiają one pod piórem autora wszystkie typowe cechy wiejskich ruchów rewolucyjnych roku 1905.

Wyrzucony z pracy pastuch dworski, Choma Gudź, który życie spędził przy bydle, przedstawia nurt dynamicznej, lecz slepej nienawiści, wyrażającej się w dążeniach niszczycielskich. Uświadamia go własna krzywda. *„Chodziłbym od chałupy do chałupy — i po głowie, po głowie. Jednego za to, że pije ludzką krew, a drugiego — że siedzi z założonymi rękami. A potem podpaliłbym wszystko, żeby się ogniem zajęło i rozsypało popiołem, żeby została tylko goła ziemia i jasne słońce"*.

Spośród grona ubogich chłopów jako przodujący działacz rewolucji wybija się Prokop Kandziuba. Już w okresie wzrostu rewolucyjnego niezadowolenia znajduje on drogę do pracy konspiracyjnej, rozdaje ulotki, czyta i kolportuje książki, zdobywa rewolucyjną świadomość i dzieli ją z towarzyszami. W okresie zaburzeń przyłącza się do tej grupy, która pragnie zachować pańskie urządzenia dla wspólnego użytku gromady i zostaje jednym z delegatów do zarządzania dworskim majątkiem. Smierć jego jest prawdziwie bohaterska. W postaci Prokopa ukazuje Kociubynski zdrowy radykalny odłam wsi biedniackiej, dochodzącej do rewolucji drogą osobistych doświadczeń, ale i pogłębienia politycznego. Prokop posiada już wiele cech tego zrodzonego w walce działacza rewolucyjnego, o którym w r. 1917 pisał Lenin w *„Referacie o rewolucji 1905 roku"*: *„Na wsi rosyjskiej zjawił się nowy typ — uświadomiony młody chłop. Utrzymywał on stosunki ze „strajkującymi", czytywał gazety, opowiadał chłopom o wydarzeniach w miastach, wyjaśniał swym kolegom znaczenie żądań politycznych, wzywał ich do walki przeciwko wielkim obszarnikom - szlachcicom, przeciwko popom i czynownikom."*

Ale właściwym przywódcą wsi jest w *„Fatamorganie"* Marko Huszcza — robotnik z Odessy, zesłany „w rodinu" (tj. do miejsca urodzenia) za agitację rewolucyjną i strajki. Marko Kociubynskiego to leninowski *„strajkujący"*, który *„sam wyszedł z ludu, sam należał do ogółu wyzyskiwanych"*, a po wysiedleniu *„wracał na wieś i opowiadał swym znajomym o pożarze, który ogarnął miasta i miał unicestwić zarówno kapitalistów, jak i szlachtę"*.

Huszcza realizuje przy tym w praktyce rewolucyjnej — z wiedzą czy bez wiedzy autora — wskazania partii. Lenin pisał w artykule *„Socjalizm a chłopstwo"* (1905): *„W obecnym ruchu chłopskim widzimy walkę ze stosunkami pańszczyźnianymi, walkę z obszarnikami i państwem obszarniczym. Walkę tę popierać będziemy aż do końca. Dla urzeczywistnienia tego poparcia jedynie słuszne jest hasło: konfiskata ziemi obszarniczej przez rewolucyjne komitety chłopskie"*. I dalej: *„Aby reforma rolna... odegrała rolę rewolucyjno-demokratyczną — jest tylko jeden środek: dokonanie jej w drodze rewolucyjnej inicjatywy samych chłopów...*

Drogę tę wskazujemy stawiając na czołowym miejscu tworzenie rewolucyjnych komitetów chłopskich".

A Marko? Marko uczy chłopów: *„Ziemia jest nasza, od wieków, bo każda grudka, każdy skrawek oblany jest potem, użyźniony krwią pracującego ludu. Odbierzmy ziemię i wtedy każdy z nas będzie miał dość chleba dla siebie i dla dzieci."* — *„Nie rujnować, nie palić, lecz odebrać."*

Mobilizując inicjatywę i tworząc komitet dla konfiskaty ziemi obszarniczej, Marko wciela w życie program leninowski. Co więcej, reprezentuje on dalszy etap rewolucyjnego działania, nieosiągnięty jeszcze przez żywiołowych a nieuświadomionych politycznie buntowników wiejskich: Gudź niszczy i podpala gorzelnię — Marko zachowuje majątek dworski w całości i wraz z Prokopem dba o jego rozwój, zdaje sobie bowiem sprawę, że w razie zwycięstwa rewolucji ziemia i inwentarz przejdą na własność i użytkowanie gromady. Szkoła, czytelnia, uniwersytet ludowy leżą na linii jego dalszych zamierzeń. Marko wprowadza też wśród biedoty pierwsze próby pracy kolektywnej przy uprawie roli.

Zwrócić trzeba uwagę, że postać Marka - agitatora wprowadza Kociubynski już w I części powieści, stworzonej w r. 1903, a Marka - działacza rewolucji i przyszłego budowniczego socjalizmu — w r. 1910, w okresie szalejącej po zdławieniu rewolucji reakcji stołypinowskiej. O ile fakt pierwszy świadczy o trafnej i głębokiej analizie społecznej życia wsi w epoce wzbierającego buntu, o tyle fakt drugi ukazuje w Kociubynskim ideologa, który w latach odpływu fali rewolucyjnej, w okresie zniechęcenia części radykalnej inteligencji do rewolucyjnego działania i załamania się wiary w jego skuteczność — nie tylko przejmująco ukazuje los wiejskiej biedoty, nie tylko z realizmem kreśli jej walkę o ziemię i wolność, ale nie traci też z oczu perspektyw rewolucji, a na jej czoło wysuwa postać uświadomionego robotnika — pozytywnego bohatera historii.

Nie mamy danych na wnioski o konsekwentnie bolszewickiej ideologii autora *„Fatamorgany"* w ostatnich latach życia i twórczości. Zapewne na właściwe ustawienie problemów klasowych w końcowej części powieści — obok głębokiej, realistycznej analizy samych wydarzeń roku 1905 — wpłynął w dużej mierze Maksym Gorki, który w latach emigracji włoskiej zachował bliski związek z ruchem rewolucyjnym. Autor *„Matki"* dobrze rozumiał chwilowy tylko odpływ fali rewolucji i potrafił w razie potrzeby przekonać o tym Kociubynskiego, zarówno jak i wskazać mu zasadnicze postulaty literatury nowego realizmu nowej klasy, której przewództwo twórca *„Fatamorgany"* uznał w swej powieści. Stwierdzić trzeba, że wprowadzeniem tak ukształtowanych postaci Marka i Prokopa oraz trafnym wskazaniem rewolucyjnej dynamiki chłopstwa i konieczności kierowania nią ze strony proletariatu — Kociubynski wkroczył w swej powieści w progi realizmu socjalistycznego. Przedwczesna śmierć pisarza, która nastąpiła w szczytowym momencie jego rozwoju, nie pozwoliła postąpić dalej na tej drodze, nie pozwoliła mu napisać planowanej jeszcze III części powieści „Fatamorgana", doniosłe ideowo i artystycznie dzieło o rewolucji 1905 r. na wsi, weszła na zawsze na poczesne miejsce do skarbnicy ukraińskiej literatury radzieckiej.

Władysława Wasilewska

*) *Mychaił Kociubynski, „Fatamorgana", przeł. Jerzy Jędrzejewicz. „Książka i Wiedza", 1951*

POKOLENIE

Zamieszczamy poniżej trzy wypowiedzi autobiograficzne młodych polonistów. Jeden 18-letni — jest synem b. fornala z białostocczyzny, drugi też 18-letni, synem średniaka z rzeszowskiego, trzeci 19-letni — synem robotnika z Ostrołęki. Życiorysy te ukazują nam najmłodsze pokolenie nowej inteligencji humanistycznej. Pokolenie, które Wyzwolenie powitało w 10-tym, 11-tym roku życia, którego późniejsze lata dzieciństwa, a pierwsze młodości przypadają na okres wielkiej historii naszego narodu: od rewolucji do Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Dlatego w Konstytucji widzą młodzi poloniści każdy rok ich życia, każdy szczebel ich awansu i rozwoju oraz cel, do którego są powołani „prawem, honorem i obowiązkiem".

W życiorysach tych na szczególną uwagę zasługuje nie tylko rozwijający się obraz praw obywatelskich, jakich dostępuje to najmłodsze pokolenie inteligencji z robotników i chłopów, ale również rozwijający się obraz obowiązków obywatelskich. Dorastanie tego pokolenia do obowiązków obywatelskich w REPUBLICE LUDU PRACUJĄCEGO Redakcja

STANISŁAW KISIECKI

SYN FORNALA

MAM 18 lat. Jestem studentem pierwszego roku polonistyki. Przybyłem na uczelnię warszawską z Drohiczyna, gdzie kończyłem liceum. Do Drohiczyna przywędrowałem z folwarku Ostróżany, gdzie mój ojciec był fornalem.

Kiedy zdawałem wstępny egzamin na polonistykę, miałem głębokie przeświadczenie, że asystenci (młodzi krytycy i naukowcy), egzaminują mnie zarówno z tego, co powinienem wiedzieć, mimo, że przyszedłem z zapadłego kąta białostocczyzny, jak też z tego, co powinienem zrozumieć i osiągnąć właśnie tam, gdzie reakcja zakładała swój bastion dla wzniecenia wojny domowej, tam, gdzie Partia w pierwszych latach zawierała sojusz wojenny z małorolnym chłopstwem.

✻

Jesienią 1944 r. dzielono w naszych stronach obszarniczą ziemię... Miałem wówczas 11 lat. W październiku tegoż roku zginęli zamordowani przez bandy NSZ-u: sekretarz grupy PPR, tow. Grabarz Franciszek i Wojdyga Antoni. Była to pierwsza cena krwi za dzieloną krokami towarzyszy z Komitetu Folwarcznego, obszarniczą ziemię. Był to początek walki Partii z krwawym terrorem, band polskich Denikinów i Kołczaków, próbujących powstrzymać historyczne przemiany.

...W poobszarniczej resztówce gospodarował były dziedzic Kolodziejski, wyprzedając skrzętnie co się dało, od przydzielonego bydła począwszy, a kończąc na rozbiórce inwentarskich budynków.

...Na plebanii huczało wesołe i wygodne życie. Natłok dobrze płatnych mszy żałobnych, nocne nabożeństwa dla bandytów z NSZ-u i WiN-u. Pijacka buta zakrystiana, aktywnego uczestnika tzw. „kontrybucji", czyli kryminalnych rabunków w okolicy. Na strychu kościelnym i za ołtarzem leżała ukryta broń, od której wczoraj zginęli tow. Grabarz i Wojdyga.

...Zrujnowany jeszcze sprzed wojny dziedzic Kryński montował z synem, „Rekinem", sieć kułackich „bojówek" w okolicy. Ginęli tajemniczo ludzie nawet nie zawsze „polityczni". Żebrak z zaoszczędzonym, czy „taśnik" - straganiarz z utargowanym groszem, przygodny handlarz - ryzykant czy wracający z jarmarku chłop.

Elegancko stroili się „oficerowie" Rekina, ich rodziny paradowały bezczelnie w skradzionych ubraniach sąsiadów.

...Gospodarstwo Jaczyńskiego I., kułaka ostróżańskiego, było stałą rezydencją włóczących się po okolicy band. Jaczyński porastał w pierze, a nad parcelantami wisiało widmo odrobku za „pomoc".

...Zginęli najlepsi, ale z tych śmiertelnych zapasów wyszła zwycięsko władza ludowa. Na parcelach poobszarniczej ziemi orano i dojrzewało złociste zboże. Byli fornale i okoliczna biedota wytrwale bronili wielkiej przemiany.

Oto, czym żyłem w 1944-45 i 46 roku. Ale byłem również dzieckiem, więc w te same niespokojne dni wielkich zmagań syciłem wcześnie obudzoną namiętność czytania: od starych elementarzy, poprzez fantastyczne opowieści z kramów odpustowych i kalendarzy na dawno zapomniane „lata pańskie" aż do wykradanych z kościelnego strychu złożonych tam resztek dworskich bibliotek.

✻

Jesienią 1946 r. poszedłem do gimnazjum w pobliskim miasteczku, Drohiczynie. Odważył się mój ojciec, fornal, odważyli inni. Oznajmiało się w ten sposób zwycięstwo władzy ludowej w naszym zapadłym kącie. Jeszcze tu niepełne, jeszcze dopiero częściowe... choć tacy jak ja dostali stypendium i bursę.

Jeszcze w Drohiczynie, miasteczku pół rolniczym, panowały klasztory i rodziny aptekarzy, sklepikarzy i domy profesorskie, pamiętające uczniów książęcego i hrabiowskiego rodu, kiedy wylani ze wszystkich innych przed wojną gimnazjów, przybywali do Drohiczyna na zesłanie i dyspensę.

... W szkole zastałem jeszcze wszechwładzę butnego prefekta i jedyne organizacje młodzieżowe S. M. i sklerykalizowane harcerstwo. Atmosfera religijnej tępoty i brak jakiegokolwiek krytycyzmu, bałwochwalcza wiara w autorytet księdza, lizusostwo i królujące zakłamanie z dewocją — oto stosunki w szkole. Bo też fornalskie dzieci przyszły dopiero w 1946 r. a przez dwa poprzednie lata tłoczyli się kułaccy synowie i „zagonowej braci". Stan ten wykorzystywał znakomicie ksiądz dla siania nienawiści do wszystkiego co ludowe.

Stąd naturalną konsekwencją był fakt, że najczynniejsi sodalisi okazali się członkami band terrorystycznych. Proces b-ci Romanowskich ujawnił zakrytą stronę działalności ks. prefekta: praca podziemia wśród młodzieży szkolnej oparta była o Sodalicję Mariańską.

Proces b-ci Romanowskich, uczniów szkoły, sodalisów i członków bandy zapowiadał schyłek klerykalnych rządów. W szkole dokonywał się proces zmiany składu klasowego młodzieży. Rok 1946 a szczególnie 1947 stanowi okres napływu takich właśnie jak ja, synów byłych fornali, komorników, biedniaków ze wsi.

„Nowi" wnieśli ze sobą nierozwiniętą, ale już odczuwaną świadomość klasową, jak iskrę zapalającą płomień walki klasowej w szkole.

XII — 1948 to miesiąc rozpoczynający wielki przełom w szkole. Organizujemy koło Z. M. P. Od 5 początkowych członków koło rozrasta się szeroko. Jestem pierwszym przewodniczącym młodzieżowej organizacji.

W lipcu 1949 ZP. ZMP w Bielsku Podl. wysyła mnie na Centralny Kurs dla aktywu szkolnego w Bartoszycach. Ma to dla mego rozwoju niebywałe znaczenie. Koniec błądzenia samopas.

... Rok 1949 to rok krystalizowania się mojej politycznej postawy. Utrzymuję ścisłe kontakty z ZP. ZMP, przyjaźnię się z aktywistami z Bielska Podlaskiego. W szkole wyrasta piękny bezkompromisowy w pracy i obowiązkach kolektyw kolegów, takich jak Buśko W., Pogorzelski Marian czy Zalewski Kazimierz.

...Lata 1949/50 były latami przełomu dla okolicy. Wzrasta proces wypierania prywatnej inicjatywy w handlu płodami rolno - hodowlanymi, rosną spółdzielnie zaopatrzenia i zbytu, aktywizują się chłopi w komórkach ZSCh. Partia mocno zakorzenia swe koła na gromadach.

W tym okresie zasięg pracy naszej organizacji rozszerza się. Stykam się bliżej z KG. PZPR, bierzemy udział w pracach społecznych, wyjeżdżamy do okolicznych wsi, agitujemy za skupem, pomagamy w przeprowadzeniu Narodowego Spisu Powszechnego. Pomagamy kołom ZMP, ożywiamy młodzież w gimnazjum zawodowym (ślusarstwo, stolarstwo). Tam jest biedota, która uczy się techniki, a nie śmie jeszcze zrozumieć swej wielkiej roli, swych praw, nie śmie uwierzyć jeszcze w swą siłę klasową. Na coś się przydały nasz humanizm i nasze upolitycznienie.

Stykam się w pracy ze starymi towarzyszami partyjnymi i uczę utrwalać to, co opłacili krwią towarzysze z Ostróżan.

Mam 16 lat. Nabierają wielkiej wymowy fakty z lat krwawego terroru 1944 — 1946. Rozumiem teraz w pełni zapamiętane obrazy zmagań klasowych i utrwalania osiągniętych zwycięstw rewolucji, obrazy tego wielkiego procesu, który głęboko przeżywałem i którego również sam byłem uczestnikiem.

...Rok 1950 był dla mnie rokiem gwałtownego odnowienia zainteresowań literaturą. Prowadzę pracę w Kole Polonistów, sam śledzę pilnie życie literackie poprzez „Wieś", „Kuźnicę" i „Odrodzenie", później „Nową Kulturę".

Szczególnie „Wieś" dała nam dużo korzyści w pracy. Sprawdzianem osiągnięć i bodźcem do pracy były artykuły i reportaże np. z Godzianowa, czy innych okolic. Wiele również korzystaliśmy ze „Wsi" w zakresie historii literatury. Bo w naszej szkole wciąż jeszcze musieliśmy się sami dobijać o rzetelne, niezafałszowane, marksistowskie spojrzenie na literaturę.

... Praca zetempowska w terenie i kontakty z Partią doprowadziły mnie w listopadzie 1950 r. do Jej szeregów. Zostałem przyjęty. Stanąłem u progu dojrzałości zarówno politycznej, jak i umysłowej. Zbliżał się okres matury, zakończenie pierwszego etapu. Raz jeszcze wypadło uderzyć celnie w księdza, który z resztek rozgromionej Sodalicji montował grupę kułackich i mieszczańskich dewotek, podsuwając im nowe metody: „mały sabotaż" — niszczenie emblematów, dekoracji, gazetek i prowokacyjne pisanie próśb o zwiększenie godzin religii.

... Rok 1951 rozpocząłem próbami „literackimi" we „Wsi". Pragnąłem dać w nich wyraz walce, jaką toczyła wieś w naszej okolicy pod przewodem Partii, chciałem dać dokument jej zwycięstw i osiągnięć.

✻

Dziś studiuję na uniwersytecie. Polonistyka... jeszcze w gimnazjum na prowincji pojmowałem ją jako wrota otwierające możliwości twórczej pracy dla najlepszych z ludu, dla tych, co chcą tworzyć.

Chciałbym nauczyć się pisać dla tych i o tych, spośród których wyszedłem, z którymi razem walczyłem i których osiągnięciami żyję.

✻

Odczytując po raz nie wiem który artykuły Konstytucji przeżywam je i rozumiem jako **wielki życiorys narodu.**

Dlatego ośmieliłem się skreślić mój jednostkowy życiorys. Konstytucja nasza jest Konstytucją **młodości narodu socjalistycznego.**

Stanisław Kisiecki

Traktor w latach dziecięcych *CAF — fot. Nowosielski*

BRONISŁAW GOŁĘBIOWSKI

Z RODZINY ŚREDNIOROLNEJ

POCHODZĘ z rzeszowskiego, z okolic Kolbuszowej, ze wsi Mechowiec. Była to wieś typowej „galicyjskiej nędzy" na piaskach, przeludniona, o skarłowaciałych gospodarstwach. Wyrobnicy i „zagoniarze" szukali pracy na „Saksach", we Francji, w Ameryce — byle utrzymać się przy życiu. Komu brakło odwagi zostawał, aby dobijać się „zarobku" na folwarku Tyszkiewiczów po 12 groszy za dniówkę. Praca była męczarnią. Wiosną pług niewiele odbiegający od sochy, w żniwa sierp, przy wykopkach motyka, a w zimie cepy i żarna. Rąk do pracy był taki nadmiar, że „gazdom na hektarach" nie kalkulowało się kupować maszyn.

Wychowałem się w rodzinie **średniackiej,** stojącej na pograniczu dwóch biegunów — biedoty i kułaków. Walka o każdy skrawek ziemi, o każdy grosz kryła nadzieję dorobku, a jednocześnie lęk przed „zdziadzieniem".

Z niej wynikały swary sąsiedzkie i ciągłe „prawowanie się". Zarabiał na tym adwokat, a wciąż powiększająca się rodzina rokowała, że w przyszłości każdy z nas weźmie po hektarze i zostanie... zagoniarzem.

Kiedy wybuchła wojna miałem 6 lat, kiedy nadeszła jesień 1944 roku— 10. Ale pamiętam ruderę dawnej karczmy, gdzie przeszedłem 4 oddziały, pamiętam kontyngenty i „łapanki" młodzieży, uwięzienia i rozstrzeliwania, legendy o partyzantach, szepty o Amerykanach, którzy już idą a potem głośniejsze: Bolszewicy biją Niemców!

W sierpniu 1944 r. sam czytałem, wywieszony na płocie afisz Manifestu Lipcowego. I dziwiłem się, że gdy wieś cała mówi „ziemię będą dawać, reforma!", czyjaś ręka zdarła wielki afisz. Oczekiwałem tych reform, bo miałem w tym osobisty interes, rozczytany na zabój w książkach chciałem uczyć się dalej i czyniłem sobie nadzieje.

Podsycały je zmiany dla wyobraźni dziecka dwakroć większe, niż dla dorosłych. W 1945 r. synkowie zagoniarzy mówili do mnie z dumą: my też mamy ziemię wielgachną jak twój tata. To folwark w Weryni rozdzielono między fornali i chłopów bez i małorolnych. W pałacu powstało liceum rolnicze. Drugie w Dzikowcu — w pałacu Botnickich. Ale najważniejszą dla mnie nowiną było powstanie liceum ogólno - kształcącego w Kolbuszowej. 6 kilometrów drogi, mogłem chodzić codziennie do takiej szkoły, która właśnie kształciła **ogólnie.** W niej wyczuwałem moją upragnioną, choć jeszcze mglistą przyszłość. W Kolbuszowej powstaje również kurs szkoły średniej dla dorosłych oraz szkoła handlowa. U nas we wsi z subwencji państwa i składek chłopów buduje się szkoła piętrowa, pierwszy murowany budynek w gromadzie. Powstaje sklep spółdzielczy ZSCh, koło ZSCh. Do głosu dochodzą biedniacy, ci, którzy organizowali strajk w r. 1937 i należeli do KPP. Dwaj bracia Bogacze, członkowie PPR dzielą obszarniczą ziemię, organizują komórki partii, kurs pszczelarsko - ogrodniczy dla młodzieży wiejskiej. Zaś PSL-owcy, szczególnie „stare ludowce" spod znaku Witosa, kułacy, lub przez nich nakręceni „działacze" krzyczą na lewo i prawo „Niech żyje Mikołajczyk!", przebąkują o Andersie.

Poszedłem we wrześniu 1945 r. do liceum w Kolbuszowej wraz z kilkunastu synami i córkami chłopów z mojej wsi (z której dotąd wyszedł tylko jeden ksiądz, jeden organista i dwóch półgimnazjalistów). Przygotowany byłem niedostatecznie do nauki w szkole średniej. Poświęcam więc dni i noce, byle nie zostać w tyle a dotrzeć do pierwszych szeregów. Pamiętam, wtedy już wpada mi w rękę „Wieś" a potem „Chłopska Droga". Kult dla „drukowanego" bardzo mi teraz pomaga, bo dzieją się na wsi i w okolicy ważne sprawy a gazety uczą je widzieć, nazwać i ocenić. Już wówczas zaczynam liczyć (to po ojcu), ile wyjechało rodzin na Ziemie Odzyskane, ile dostało ziemię na miejscu.

Przez ZSCh chłopi otrzymują — pierwszy raz w życiu — nawozy sztuczne, pożyczki na odbudowę, umożenie długów przedwojennych. I moja rodzina otrzymuje pomoc państwa na budowę domu (o czym, gdy przed wojną marzyliśmy, ojciec mawiał: dom, to cztery morgi, choćby się ta chałupa spaliła, to nie puszczę ziemi, bo przepadniemy z kretesem).

Do ostrych starć dochodzi w okolicy podczas Referendum w 1946 r. i po nim, po klęsce „zielonych". Mnie, malcowi średniackiemu, otwierają się oczy. Gębacze mikołajczykowscy judzili ludzi przewrotną sofistyką „uni chcą **rewolucji** a my spokojne chłopy **ślachetnej demokracji**". A tu po ich zdemaskowaniu w Referendum, po klęsce w wyborach... padają zabici w nocy dwaj bracia komuniści, których moja dziecięca pamięć złączyła na zawsze z dzieleniem ziemi, z zakładaniem szkół rolniczych w pałacach w Dzikowcu i Weryni, z budową murowanej, piętrowej szkoły w naszej wsi. Posypały się z kułackich zakamarków „wyroki śmierci", rozpowszechniły ciężkie pobicia. Ograbili oni spółdzielnię ZSCh, w walce z nimi padł komendant powiatowy MO. Ale już wiosną 1947 r. wytropiono w lasach pod Mielcem NSZ-owską bandę i ujęto pod sąd ludu.

Po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych, we wsi nie było Koła. Starzy wiciarze przycichli, nadchodziła pora na młodych, najmłodszych. W 1948 r., mając 15 lat, wraz z kolegami organizuję zespół sceniczny, wystawiamy sztuki a potem zakładamy Koło ZMP. Z Zarządu Pow. ZSCh otrzymaliśmy trochę książek i materiałów świetlicowych, trochę zakupiliśmy z przedstawień.

To co nabywam w liceum, staram się (codziennie wracając na wieś) przekazać młodzieży w gromadzie, tak, jak moi najlepsi koledzy, Serafin Julian i Sądej Władysław. Upowszechniamy i wprowadzamy z kolegami na wieś zdobycze rewolucji — książkę, gazetę, piłkę, sztukę o aktualnej tematyce wiejskiej („Wesele Jagny", „Gospodarz — to ja", „Kozie mleko" itp).

Przyjaźń z kolegami z liceum i ze wsi, zrodzona w pracy wspólnej, hartuje mnie i zachęca do coraz śmielszych działań.

Staję się korespondentem „Nowej Wsi", „Sztandaru Młodych" i „Nowin Rzeszowskich". Pierwsza notatka (jeszcze w r. 1947), piętnowała bandytów, którzy zrabowali naszą spółdzielnię. Potem trzymałem się bardziej spraw młodzieżowych, z nich prace świetlicowe ośmieliły mnie do zabrania głosu w sprawach literackich, we „Wsi", np. o sztuce Warmińskiego, w „Nowej Kulturze" o nowej satyrze.

Koledzy, z którymi pracowałem w kole nie zagrzali długo w domu — kilkunastu jedzie do szkół SPP, kilkunastu w r. 1949 i 50 do Nowej Huty i Stalowej Woli. Nowa szkoła w naszej gromadzie stała się ośrodkiem życia kulturalnego i społecznego wsi. Powstał stały dziecińiec, gabinet pomocy naukowych z fizyki, geografii, przyrody, biblioteczka szkolna, drużyna harcerska. 6 sił nauczycielskich czuwa nad wychowaniem i nauką młodego pokolenia chłopów. W r. 1950 w okolicznych wioskach powstają spółdzielnie produkcyjne, w Weryni potem w Roniżowie. Kułacy sieją wrogą plotkę i agitację antyspółdzielczą. Ale spółdzielnie rozwijają się, a maszyny z SOM-u w Dzikowcu i prywatne, udostępnione mało i średniorolnym chłopom po ustalonej cenie, robią swoje. Nikt już nie rżnie sierpem, nie młóci cepami. Gromada układa plan melioracji gruntów, przoduje w gminie w skupie zboża. Sołtysem jest małorolny chłop Oko St., dobrze pracuje komórka partyjna i koło ZSCh.

W r. 1951 uzyskuję bardzo dobre świadectwo maturalne, a potem przez trzy miesiące pracuję w 28 bryg. SP na Śląsku, przy budowie kolei. Dociągam od 250 do 350% normy.

Wprost z roboczego kolektywu, ze współzawodnictwa pracy przybyłem na wstępny egzamin na wyższą uczelnię. Przyjęto mnie. Mam prawo studiować literaturę. Ale to znaczy, że mam wielki obowiązek. Dostałem miejsce w domu akademickim i stypendium. Organizacja wysłała mnie już na kurs naukowy w Międzygórzu w grudniu 1951 r., otacza opieką i pomocą naukową. Redakcja literackiego pisma, gdzie próbowałem pierwszych kroków, też czuwa nade mną, uczy i wspiera. Im większej zaznaję opieki, tym mocniej uświadamiam sobie, jak dużo winienem zrobić, aby z marzeń dziecięcych i pragnień młodzieńczych wydobyć to, co zasługiwałoby choćby w ułamku na miano twórczości.

Nie waham się już, średniacki syn, ale skrzepienia każdy potrzebuje, tym bardziej im na większy waży się czyn. Tę otuchę czerpię z Konstytucji, w której odczytuję każdy rok mego życia, każdy szczebel mego awansu i rozwoju oraz cel, do którego jestem powołany tak, jak każdy w republice ludu pracującego „prawem, honorem i obowiązkiem".

Bronisław Gołębiowski

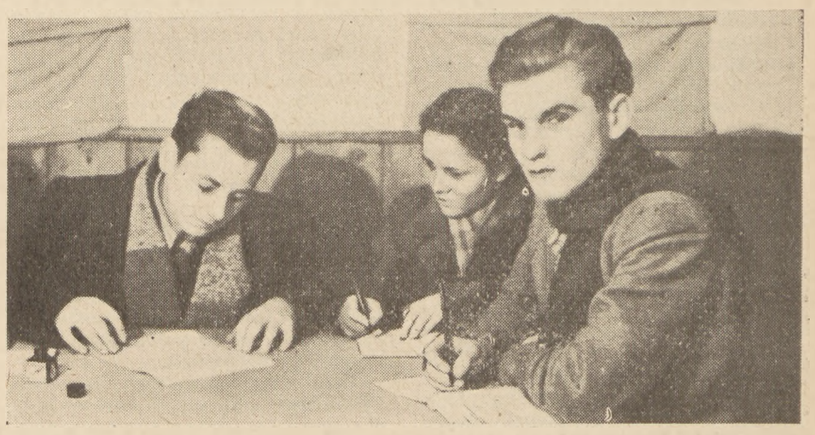

Redagujemy gazetkę gromadzką *Foto E. Goławski*

LESZEK BAKUŁA

Z ROBOTNIKÓW MAŁEGO MIASTECZKA

TEGO dnia gdy wróciliśmy po wykładach do domu akademików, każdy z nas przyniósł gazetę z projektem Konstytucji. Ludwik Gołąbek, syn chłopa biedniaka, donośnym głosem zaczął czytać artykuł po artykule. Sześciu nas, młodych chłopców, słuchało uważnie jak brzmią, przysługujące im prawa. Powoli każdy przenosił się myślą do lat, które minęły. Nie znaliśmy się dotąd bliżej; bo od niedawna ze sobą mieszkamy, ale wszyscy jesteśmy zetempowcami. Przewodniczący koła zaproponował więc, żebyśmy po przeczytaniu — dla lepszego poznania się i lepszej pracy w kolektywie — podejmując dyskusję nad Konstytucją, opowiedzieli sobie o naszym życiu i planach na przyszłość, które nam Konstytucja gwarantuje. Gdy przyszła na mnie kolej, opowiedziałem...

Dopóki matka nosiła mnie za chustką, mój stosunek do życia był obojętny, ale gdy stamtąd wylazłem, to pierwszym moim doświadczeniem była krzywda społeczna. Mieszkaliśmy w Ostrołęce, małym miasteczku powiatowym nad Narwią. Był to przed wojną ośrodek handlarski drobnotowarowej gospodarki rolnej i zaopatrzeniowej na cały powiat. Był to ośrodek granicznego przemytu i szmuglerstwa oraz faszystowskich wpływów ONR- z Warszawy. Matka moja pracowała dorywczo u różnych kupców - dorobkiewiczów i ćwierć inteligentów, nie nazywana nigdy **robotnicą** w takim jak nasze miasteczku. Ojciec wystawał najczęściej pod magistratem, bo nie było roboty, a każdą brał ten woziwoda, rębacz, łopaciarz i palacz.

Mieszkaliśmy na poddaszu lub w piwnicy, jak większość rodzin robotniczych a i to nie każdy właściciel chciał takich „niedochodowych" lokatorów brać do siebie. Jeszcze w dzieciństwie straciłem ojca, wtedy matka wzięła łopatę, żeby jakoś opędzić się biedzie. Gotowała nam na zmianę „pieprzową" wodę i komasę z kartoflami oraz inne, podobne „przysmaki". Później umarł mój brat — jeszcze w kołysce, bo nie było pieniędzy na doktora i lekarstwa. Przy pomocy krewnych, którzy dali na zeszyty, posłała mnie matka do szkoły. W pierwszym i drugim roku przyniosłem czwórki i piątki. Matka miała łzy w oczach, gdy nauczycielka chwaliła moje postępy, wiedziała bowiem, że to się skończy na czwartym co najwyżej oddziele. Ustrój, który nas tak „urządził" miał też swoją konstytucję. Ale matka nie interesowała się nią nigdy. Choć były tam bałamutne frazesy o wolności i równości praw, wiedziała tyle, że konstytucja była pisana na naszej skórze, na rzecz posiadaczy okolicznych młynów, tartaków, browarów, dla kupców i sługusów sanacji.

Tuż przed rokiem 1939 matka dostała bardziej stałą pracę przy budowie tamy na Narwi, która miała niby służyć do zalania Niemców. Znów zarabiali na tej pracy kapitaliści, kto wie, czy nie zagraniczni. Mówiono przy tej okazji o miłości ojczyzny — a jakże! Choć tamy nigdy nie wykończono, a przecież robotnicy pragnęli gorąco zatrzymać nawałę faszystów niemieckich. Wybuchła wojna. Matka nadal pracowała łopatą... na szosie, kupcy nadal szmuglowali z Generalną Gubernią, spekulanci pędzili bimber. Było straszliwie ciężko, poszedłem więc, ośmioletni malec na wieś. Pasłem krowy u kułaka dwa lata, a później pomagałem wujowi reperować obuwie. W wolnych chwilach rysowałem i czytałem książki. Marzyłem wtedy o tym, żeby mieć dużo książek i farb oraz jasne mieszkanie. Malowaniem powinszowań i obrazków również trochę zarabiałem. Później chodziłem do kuźni kowalskiej na naszej ulicy i tam za poruszanie miecha mogłem posłuchać, co ludzie mówili o wyzwoleniu, które miało szybko nadejść. No i wreszcie... Nim ochłonęliśmy z radości, już po podwórzu chodzili żołnierze z czerwonymi gwiazdami.

Jakaś kobieta wyszła drżąc ze schronu z dzieckiem, które zanosiło się od płaczu. Żołnierz wziął je na ręce, a dziecko poczęło się bawić medalami, tak powitało nowe życie.

Opuściliśmy z matką ostrzeliwane miasteczko. Nie było gdzie mieszkać, bo okoliczne wsie Niemcy popalili odchodząc. Nikt nas nie mógł i nie chciał wziąć do mieszkania, tym bardziej, że szła zima, a matka była chora. Wtedy strzeliła mi do głowy myśl, żeby wykopać ziemiankę, jak to robili żołnierze radzieccy i spaleni gospodarze. Kiedy powiedziałem o tym jednemu z „gospodarzy" prosząc o trochę drzewa na „domek", ten zrobił taki gest, jakby chciał się przeżegnać, ale dał trochę drzewa. No cóż, miałem 12 lat a wyglądałem na 10. Uparłem się, choć matka też podejrzewała u mnie wtedy brak zdrowego rozumu. Byłem i cieślą i stolarzem i murarzem, bo stawiałem i komin i kuchnię. Pomogli mi przynieść drzewo radzieccy żołnierze. W ziemiance siedzieliśmy do ofensywy styczniowej. Robiłem ludziom ze wsi bambosze i trepy, bo tego nauczyłem się u wuja. Wieczorami chłopi czytali Manifest Lipcowy, jak poeci swoje najpiękniejsze wiersze, a ja wciskałem się między ich głowy, bo ciekaw byłem odnaleźć tam prawa i dla mnie i dla matki. Należeliśmy przecież do robotników, którzy odtąd mieli rządzić. Z wiosną, gdy chłopi okoliczni ruszyli na pola i na pańską ziemię, powróciłem do miasta. Znowu wróciła tu brudną falą gospodarka drobno - towarowa spekulancka i szabrownicza i wydawało się, że przedsiębiorcy, handlarze i spekulanci będą zawsze tak lekko żyć kosztem pracujących. Ale władza ludowa potrafiła ich okiełznać przez poparcie rozwoju spółdzielczości i organizację państwowych placówek handlu i przetwórstwa, gdzie znalazły pracę tysiące, (a wśród nich i moja matka. Ja zacząłem się wreszcie uczyć. Skończyłem piąty i szósty oddział i... poszedłem do gimnazjum i liceum. Czyż mógłbym o tym marzyć przed wojną? Ale i teraz łatwo mi to jeszcze nie przychodziło. Musiałem dorabiać korepetycjami, bo matka schorowana przestała zarabiać z powodu niezdolności do pracy, ale PRN ułatwiło mi naukę, otrzymałem stypendium, a później i pracę w Świetlicy Międzyzwiązkowej. W roku 1948 wstąpiłem do ZMP i to przyśpieszyło mój rozwój ideowy. Pracowałem jako aktywista Zarz. Pow. i jako przew. Zarz. Szk. ZMP. Jeździłem do tych wsi, gdzie pasłem krowy, gdzie budowałem domek — ziemiankę, żeby przekonywać ludzi o słuszności drogi, jaką obrał Rząd i Naród. W szkole i w terenie uczyłem się praw walki klasowej. A wrogowie stawiali opór zaciekły. Nie łatwo było być zetempowcem, bo i prefekt toczył z nami boje na różne często niby niewinne sposoby i ostrołęckie dewotki roznosiły o nas kłamstwa. A tu trzeba było się uczyć po nocach z Lenina i Stalina, a we dnie w konkretnej pracy organizacyjnej, zakładając nowe koła w terenie, strzegąc założonych przed atakami wroga. Wiele poranków zastało mnie nad książkami, ale matka doczekała się pociechy i opieki. Tak wyrastały moje i nasze prawa. Ja również je pisałem swym życiem, jak robotnicy, chłopi i inteligencja pracująca. Skończyłem szkołę ogólnokształcącą i tu rzeczywistość przerosła moje dawne marzenia. Dostałem się na Uniwersytet Warszawski. Czyż śmiałbym nawet o tym marzyć przed wojną? Ludzie w miasteczku powiedzieliby, że wariuję. Dziś jestem dumny i szczęśliwy i pragnę, żeby dumne było ze mnie społeczeństwo. Z tego wypływa dla mnie obowiązek nauki i pracy społecznej. Konstytucja, która gwarantuje mi te prawa, wyznacza przez nie moją przyszłość. A ta przyszłość? Od napisania pierwszego w życiu wiersza mija trzy lata, a wydrukowałem już ich kilka w pismach literackich i byłem delegatem na zjazd Młodych Pisarzy w Nieborowie 1951 r. Pisałem recenzje z książek, w których los bohaterów przypominał moje życie i moich kołtuńskich gnębicieli. Na uniwersytecie, na polinistyce zacząłem nowy okres życia, jaki otworzyła mi Polska Ludowa, a gwarantuje Konstytucja. Będę szedł dalej z klasą robotniczą, z moimi kolegami, z moją matką, z całym Narodem. Trudna jest droga do socjalizmu, ale Konstytucja będzie nam orężem na tej drodze walki, pracy i twórczości.

Leszek Bakuła

MARIA JANION

Na marginesie Plenum ZLP

„DOPŁYWY" KRYTYKI LITERACKIEJ

BOJOWE hasło „krytyk w terenie" po raz pierwszy w sposób stanowczy sformułował, szeroko omówił, teoretycznie uogólnił. Tadeusz Borowski, którego publicystykę cechowała właśnie owa żarliwa pasja stawiania najbardziej sztandarowych zadań przed bieżącą działalnością literacką. Pisał wtedy: *„Bo krytyk nie odrywa się od biurka, od seminarium, od zakładu naukowego. Bo żyje książkami. A rzadko wpada mu do głowy pojechać w teren, posiedzieć kilka tygodni w różnych środowiskach, ponotować, poobserwować na własną rękę"*. Dziś już możemy mówić w pewnym sensie o „historycznym" rozwoju problemu, możemy się posługiwać — niewielką co prawda — ilością wypowiedzi, sporów, obserwacji, a przede wszystkim — pewnych uogólnień praktycznych. Zawołanie, które miało pobudzać i gromadzić wszystkich krytyków „z prawdziwego zdarzenia", znalazło swe odbicie w artykułach sprawozdawczych z akcji terenowych krytyków (Matuszewski, Leopoldowa), w sporze, jaki się toczył o ich uprawnienia i obowiązki w terenie, wreszcie — na łamach „Wsi", która już od dawna stworzyła specjalny typ akcji krytycznej, polegający na częstym publikowaniu wypowiedzi masowego czytelnika, na wykorzystywaniu w recenzjach i artykułach materiału ocen i obserwacji dostarczonego przez teren, na stworzeniu szerokiej sieci korespondentów terenowych, zainteresowanych zagadnieniami literackimi. Na ostatnim Plenum ZLP, poświęconym problemom współczesnej krytyki literackiej, sprawa ta uzyskała również właściwe, chociaż niezbyt bogate oświetlenie, a Komisja Krytyczna, powołana przez Plenum przy Zarządzie Głównym ZLP, jedno ze swoich licznych zadań upatruje właśnie w sondowaniu szerokiej opinii czytelniczej i kontaktowaniu krytyka z odbiorcą.

W okresie, kiedy problem „krytyka w terenie" zajmował uwagę czasopism literackich, starło się kilka różnych stanowisk w tej sprawie, ujawniły się charakterystyczne „przegięcia pałki". Przegięcia owe sprowadzały się głównie do pomniejszania roli marksistowskiego wykształcenia krytyka, opanowania przezeń bogatej wiedzy o rzeczywistości, szerokiego oczytania, doskonałej znajomości literackiej tradycji narodowej na rzecz wąsko pojmowanej „terenowości", *wyłącznego* czerpania znajomości przedmiotu z wyjazdów na wieś czy do fabryki. Była to swojego rodzaju pochwała żywiołowości bez uznania przodującej roli świadomości w „procesie krytycznym". Poglądy te otrzymały — nikłą wprawdzie — odprawę na ostatnim Plenum. Dlatego też sprawozdawca „Nowej Kultury", sumując jego wyniki, mógł napisać: *„Odrzucono błędną koncepcję zrównania „terenowych" obowiązków krytyka i pisarza"*. Oczywiście, na tym oczyszczeniu pola nie kończy się całe zagadnienie. Stoi obecnie przed nami konieczność wyczerpującego opracowania i praktycznej realizacji wielostronnych, rzeczowych, przemyślanych „kontaktów krytyka z terenem". Postulatów i propozycji jest w tym zakresie wiele: — uczestnictwo krytyków — krótsze lub dłuższe w terenowych akcjach kulturalno-oświatowych i propagandowych, w konkretnej agitacji politycznej, pisanie reportaży z życia kulturalnego zakładów pracy (praktyka „Życia Literackiego"), wykorzystywanie obserwacji terenowych „organizatorów kultury" (bibliotekarzy, kierowników świetlic), troska redakcji o rekrutację młodej kadry krytycznej z ludzi pochodzenia robotniczego i chłopskiego i zużytkowanie ich szerokiego doświadczenia życiowego, wreszcie — umiejętne spożytkowanie w praktyce krytycznej korespondencji terenowej, opinii masowego czytelnika. Oczywiście — na tym nie wyczerpuje się lista możliwości, możnaby ją jeszcze długo ciągnąć. Idzie o naprawdę szeroką, kierowaną i planowaną przez redakcje i Komisję Krytyczną ZLP — realizację tych założeń teoretycznych, o pozostawienie za sobą etapu gołosłownych zapewnień i deklaracji.

Realizacja praktyczna nie może przebiegać „od okazji do okazji", nie może też napotykać na opory krytyków, którzy mimo frazeologicznych deklaracji — w głębi duszy są przekonani, że artykuł o współczesnej książce można napisać — i to bardzo dobry — bez tzw. „opinii terenu". Trzeba właściwie pojętą „terenowość" wprowadzić w krew naszej krytyki; konkretnie przekonać aktyw krytyczny o potrzebie, a przede wszystkim pożytkach, jakie płyną dla oceny współczesnej produkcji literackiej ze związków z „terenem". Trzeba szeroko popularyzować przykład radziecki, gdzie, jak na łamach „Litieraturnoj Gaziety", od dawna znaleziono sposoby umiejętnego korzystania z szerokich plebiscytów czytelniczych na tematy literackie. Jest to chyba obecnie jedno z głównych zadań naszej publicystyki, którego realizacja gwarantuje częściowo wyprowadzenie naszej krytyki z impasu.

Jest to w tej chwili zadanie o tyle bardziej palące, aktualne, a w pewnym sensie i łatwiejsze do wykonania, niż wcześniej (patrz artykuł P. Czyżowej, który omawia zainteresowania literackie wsi w r. 1946), że, jak wskazują relacje z terenu — w czytelnictwie masowym, zwłaszcza wiejskim, dokonał się pewien, dość zasadniczy zwrot, oczywiście nie bez wpływu ogólnej intensyfikacji naszego życia politycznego, nie bez kierowniczej roli różnych społecznych organizacji masowych. Zwrot ten streszcza się w olbrzymim wzroście zainteresowań polską literaturą współczesną i literaturą radziecką, słowem — literaturą realizmu socjalistycznego. Można tu mówić z całą odpowiedzialnością o zwrocie, gdyż, jak wiadomo, czytelnik masowy w pierwszych latach po wojnie sięgnął po klasyków literatury polskiej i powszechnej. Było to zjawisko zupełnie zrozumiałe; znalazło ono doskonałe wytłumaczenie w szkicu Jana Kotta pt. *„W stronę klasyków": „Lata walki, grozy i terroru uczyły ludzi myśleć serio, czytelnik szukał książek, które by mu pomogły zrozumieć to co się dzieje. I oto obraz świata, jaki znajdował u pisarzy dwudziestolecia, nie tylko, że był całkowicie absurdalny i bezsensowny, ale również zupełnie sprzeczny ze zwykłym, ludzkim, codziennym doświadczeniem (...) I dlatego, i tylko dlatego czytelnik sięgając dzisiaj* (pisane w 1945) *po książki Balzaka, Stendhala czy Orzeszkowej znajduje w nich, mimo upływu lat, obraz świata znacznie bardziej prawdziwy, rozsądny i podobny do dzisiejszej rzeczywistości, niż w najgłośniejszych utworach nowych pisarzy"*. Czytelnik z 1945 r. nie umiał jeszcze oczywiście sięgnąć po książki radzieckie.

Dzisiaj niebezpieczeństwo zamknięcia się masowego czytelnika „w obozie klasyków" zostało już całkowicie zażegnane. Pojawiły się liczne utwory, pokazujące świat rzeczywisty. Głosy z terenu żarliwie domagają się nowych książek o współczesności: *„Chciałbym przeczytać jeszcze książkę na temat przebudowy wsi z indywidualnej w zespołową"* (W. Bobek, Kosiorki, pow. Białystok), *„Książki chciałbym czytać takie jak „Kawaler Złotej Gwiazdy", gdyż są zachwycające i pouczające"* (St. Korolczuk, Szynwałd, pow. Sępólno), *„Najwięcej twórczych myśli dają książki, mówiące o zagadnieniach powstawania pierwszych kołchozów na terenach, gdzie toczyły się najcięższe walki z kontrrewolucją"*. (St. Kiszko, Zbiczno, pow. Brodnica). *„Chciałabym bardzo przeczytać książki marksistowskie, w których umieszczona jest prawda"* (Z. Ćwiertniewicz, Tropia, pow. Rzeszów). (Korzystam z materiałów „Konkursu Czytelników Bibliotek Wiejskich", zorganizowanego przez Zarząd Główny ZSCh). Literatura realizmu socjalistycznego staje się własnością milionowych rzesz czytelniczych. Ich wypowiedzi wytyczają nie tylko słuszne postulaty ideowe i artystyczne pod adresem powstających książek; ich wypowiedzi przynoszą niejednokrotnie bezcenny materiał poznawczy, jasną i szeroką ocenę bieżącej produkcji literackiej. Pokazują one, jaką rolę odgrywa nowa literatura w największym procesie naszej współczesności — w procesie kształtowania się narodu socjalistycznego. I dlatego „fachowa" krytyka współczesna nie może nie wciągnąć w obręb swych rozważań tych niezwykle wartościowych pokładów wiedzy o książkach i o rzeczywistości.

Utarło się ostatnio powiedzenie, że dopływy literatury realizmu socjalistycznego, to przede wszystkim pamiętnik chłopa i robotnika, autobiografie przedstawicieli mas ludowych. A jakie są „dopływy" współczesnej krytyki literackiej, znajdującej się także na pozycjach realizmu socjalistycznego? To właśnie głosy z terenu, opinie masowych czytelników, ludzi pracy, którzy bezkompromisowo oceniają, co im pomaga w kształtowaniu świadomości socjalistycznej, a co bruździ. Źle byłoby z krytyką, gdyby jej opinie nie bazowały, nie czerpały soków żywotnych, nie opierały się na tych właśnie podstawowych rzeszach czytelniczych.

Czy istotnie te niefachowe, niezręczne stylistycznie, „prymitywne" i „naiwne" opinie terenowe w czymkolwiek mogą pomóc? Czy wspaniały essay krytyczny musi być koniecznie „obciążany" powoływaniem się na często niezgrabne, nieforemne wyroki masowego czytelnika? Czy nie należy tego traktować jako niewygodnego haraczu na rzecz wymogów „współczesności"? Ostatecznie wielka krytyka istnieje już setki lat, a czyż Saint-Boeuve, Dembowski lub Dobrolubow twierdzili, iż tą a tą opinią literacką natchnął ich czytelnik z Ryczywołu? Takie i im podobne pytania nurtują wielu naszych krytyków. Żeby w sposób właściwy i trafny odpowiedzieć na te wątpliwości, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie, na czym polega i jak się osiąga „przedstawicielstwo" opinii szerokich mas narodu, jak się zdobywa zaszczytne miano krytyka-ideologa i polityka. Mickiewicz kiedyś pisał, że najszczytniejsza dla niego nazwa to „żołnierz sprawy narodowej", że chciałby, aby tak właśnie go określano. Dzisiaj — najwyższe miano dla krytyka, to „żołnierz sprawy socjalizmu". Droga do tych pozycji prowadzi poprzez związek z ideologią marksizmu - leninizmu, z naszą Partią, z walką o socjalizm, z życiem współczesnym. Jednym ze środków umocnienia i ugruntowania tych więzi jest dla krytyka silny i nierozerwalny kontakt z terenem, umiejętność korzystania — nawet w drobnostkach — z bogactwa ocen i obserwacji literackich ludzi socjalizmu.

Przykłady, które już dzisiaj potwierdzają słuszność powyższych twierdzeń, są liczne i przekonywujące, a do naszych zadań — należy je wielokrotnie pomnożyć. Chciałabym kilka z nich przytoczyć.

Pierwszy — z zakresu umiejętnego spożytkowania w krytyce opinii „terenu". Autorka recenzji z powieści łotewskiej Willisa Łacisa, A. Bartoszewicz („Wieś", nr 51 z ub. r.) na podstawie opinii czytelników ze spółdzielni produkcyjnej potrafiła sprostować, niestety, czysto „książkowy" i „biurkowy" sąd innego recenzenta, który bohatera książki uznał za *„tragicznego samotniczego społecznika"* w stylu Żeromskiego. A czytelnicy potrafili wykazać silne powiązania bohatera ze środowiskiem wiejskim i to właśnie ich głównie w tym rzekomym „samotniku" ujęło i oczarowało.

Drugi — z zakresu konieczności orientacji krytyka w najżywszych zainteresowaniach ideowych i literackich „terenu". Przeczytajcie omówienie „Opowieści bukowińskiej" Muratowa przez S. Skulskiego („Wieś", nr 1 z b.r.) pt. „Polemizuję z delegatem amerykańskim". Zobaczycie, jak trafnie wychwycił on polityczny problem książki, sprawdzicie, co czytelnika masowego najbardziej interesuje. W tym wypadku jest to problem rozbicia mitu, że w *każdym* ustroju, każdy silny i wytrwały człowiek może się dobić szczęścia.

Trzeci — z zakresu troski redakcji o rekrutację kadr krytycznych z młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Przeczytajcie recenzję młodego polonisty pochodzenia chłopskiego T. Murasa pt. „Jak rosną nowi ludzie" („Wieś", nr 3 z b.r.). Zobaczycie, jak konkretna wiedza o życiu współczesnej wsi pozwala głęboko korygować autora opowiadań, podsuwać mu słuszniejsze politycznie rozwiązania.

Są to przykłady, które nie pretendują do miana, ani najdoskonalszej, ani nawet zadowalającej roboty krytycznej. Ale początki są często trudne i nieporadne. Oczywiście, nie idzie o to, aby wszystkie recenzje zaczynały się od sakramentalnej formułki: *„Czytelnicy spółdzielni produkcyjnej w... stwierdzili, że..."* czy posługiwały się mechanicznie innymi, podobnymi zabiegami. Dlatego podkreślam problem „umiejętności" korzystania z terenu, konieczności stworzenia szerokiej skali możliwości w tym zakresie. Bo przecież zależy nam wszystkim głównie na tym, aby recenzji było jak najwięcej „dobrych i różnych".

Maria Janion

ANNA KAMIEŃSKA

Jakiej powieści chciała wieś przed 6-laty

PIERWSZĄ bodaj po wojnie sondą badającą stan i warunki czytelnictwa na wsi była zorganizowana w r. 1946 ankieta „Wsi" na temat sformułowany dość szeroko: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś". Takie sformułowanie tematu ankiety umożliwiło znaczną różnorodność i oryginalność wielu nadesłanych wypowiedzi (123). Pochodziły one przeważnie od działaczy młodzieżowych i gospodarczych, choć brało także udział w ankiecie wielu indywidualnych starych „książkożerców", młodzieży, kobiet. Załączone do wypowiedzi życiorysy zwiększały sprawdzalność społeczną ankiety. Najszerszą klasowo grupę stanowili wśród uczestników ankiety chłopi małorolni. Nie mamy zamiaru w tej chwili wracać do tego nieaktualnego pod względem etapu przedsięwzięcia kulturalnego w sensie jakichś spóźnionych podsumowań czy wniosków, mimo że w okresie owym znaczenie ankiety dla rozwoju czytelnictwa na wsi mogło być duże i że nie została ona w pełni — nawet w sensie badawczym — wykorzystana.

Chcemy po prostu przeglądając dziś rocznik „Wsi", w którym ciekawsze listy na temat czytelnictwa zamieszczono, przypomnieć pewne sprawy w jakiś sposób dziś jeszcze aktualne i ciekawe, podzielić się z czytelnikiem wrażeniami na nowo odczytanych, a tak zawsze pasjonujących listów z terenu, które są jak rozmowy z coraz nowymi, ciekawymi i w jednym błysku odsłaniającymi nagle swą prawdę życiową — ludźmi.

Te listy — rozmowy na temat literatury przeprowadzane były w okresie, kiedy wieś po koszmarze okupacji budziła się do nowego życia, do nowego ustroju — w ramach przeprowadzonej reformy rolnej. Ta świadomość przełomowości czasów towarzyszy wszystkim korespondentom ankiety. Czuje się w tonie ich wypowiedzi jakieś silne ożywienie umysłowe i jednocześnie wielką ciekawość rzeczy, które nadchodzą. Niezależnie od oficjalnej krytyki literackiej, niezależnie od przemian ideologicznych w środowisku pisarskim, które zresztą nastąpiły znacznie później — uczestnicy ankiety „Wsi" formułowali na swój sposób aktualne dziś postulaty pod adresem literatury, oceny literatury klasycznej i współczesnej pod kątem jej społecznej przydatności.

Sformułowanie tematu nie prowokowało do ocen i do badawczego ujęcia problemu, mimo to większość wypowiedzi przedstawi mniej lub bardziej dokładnie zakres dzieł literackich stanowiących podstawę sądów wsi o literaturze. Podstawę tę tworzą przede wszystkim dzieła Sienkiewicza, potem polskich realistów krytycznych: Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego, Orkana, Reymonta. Według relacji starszych chłopów, działaczy ruchu ludowego w spisie lektury wsi widnieją jeszcze obok uniwersalnego kalendarza i gazety, książki i broszury religijne i pisane specjalnie „dla ludu". Tytuły tych książek podane przez jednego z piszących są znamienne: „Co to we wsi być może", „Uczciwemu Bóg pomaga", „Szczęście tylko w ojczyźnie".

Sienkiewicz jest przeważnie tym pisarzem, który otworzył oczy na świat książki. Na podstawie Trylogii, a nie „Chłopów" Reymonta wieś urabiała swoją opinię. W kształcie zbliżonym do sienkiewiczowskiej Trylogii widziała swoje marzenie o chłopskiej współczesnej epopei. Nie brak jednak głosów krytycznych na temat Trylogii Sienkiewicza. Pisze ktoś z uczestników ankiety, że w Trylogii nie było nic dla chłopa — „unosił się w niej duch szlachecki".

Reymont w ujęciu naszej ankiety potraktowany był o wiele krytyczniej. Raził w nim naturalizm, szczegółowość opisu, „babranie się" w brudach życia. „Co tam jest prócz wspaniałych obrazów natury, żywości postaci i piękna, masowego zrywu? Jest tam bydlęca walka, na rogi i pazury, z ojcem o gospodarkę, to borynowe borykanie się przy krzywdzie Józi i uwiedzionej dziewki — i to trwa przez cały boży rok". Podobne rzeczy nie podobają się w Orkanie: „Chłop nie lubi czytać świństw o sobie", a tymczasem obraz chłopa Orkana jest w swoim naturaliźmie przejaskrawiony. „Oto kmiotek grubowargi z obwisłymi policzkami nad michą barszczu, oto kmiotek zaglądający przez okno do izby, gdzie odbywa się zebranie, oto ten sam zawierający drzwi — podczas gdy jego sąsiad długimi krokami podąża do bliskich sobie na daleki koniec wsi, by długo w zimową noc gwarzyć o chłopskich swoich dumaniach. Kmiotek popatrzy na niebo i stwierdził, że mróz na dworze i syt i zadowolony zakopie swoje istnienie w betach na przypiecku, gdzie przez lata całe sypia snem sprawiedliwego. Czego on chce? Ano tej michy pełnej, juści, bo czegóżby więcej...". Na szczęście dostrzeżono też coś więcej w powieściach Orkana, Franek Rakoczy bohater powieści Orkana „W roztokach", wymieniany jest jako wzór życiowy obok Judyma i Ślimaka. „Dlatego, że i ja od najwcześniejszej młodości ten sam bunt przeżywałem w sobie co on, tę walkę młodego pokolenia ze starszym pokoleniem, walkę ze wszystkim złem, wstecznictwem i ciemnotą, która do tej pory po naszych wioskach istnieje".

Do tych pisarzy - klasyków realizmu piszących o wsi, dołącza się prawie wszędzie, gdzie mowa o literaturze poznanej, nazwisko Jana Wiktora. Twórczość jego ocenia ankieta przeważnie pozytywnie, ale ale nie bez przygany, brzmiącej np. w takich pochwałach: „Książki Wiktora — przytacza jeden z piszących zdanie chłopa swego rozmówcy — przypominają mi naszą nauczycielkę — takie toto ładne, cichutkie i skromne, a nieba by chłopu przychylić rade. O sprawy wsi troszczy się jak o swoje szczęście, a jak do człowieka przemówi, to kiejbyś miodu liznął — tylo w niej dobroci i słodyczy". Gdzieindziej krytykuje się wprost ten sentymentalizm i ckliwy humanitaryzm powieści Wiktora.

Współczesnych książek, jakby wieś nie znała. Wymienia się rzadko Wincentego Burka, Jana Kurka, Stanisława Piętaka—to wszystko. Co prawda współczesnych powieści o wsi jeszcze w literaturze naszej w 1946 roku nie było, a z powieści powojennych, opisujących martyrologię lat wojny, opinia wsi wyrywała się ku nowej literaturze, mówiącej o pokoju, o pracy pokojowej, o pokonywaniu trudności, o dążeniu do nowych form życia. Sformułowania wychowawczej roli literatury są w ankiecie tak celne, że mogłyby być przeważnie powtórzone dzisiaj. Odpowiadając na pytanie „jakiej powieści chce dzisiejsza wieś" wieś odpowiedziała: powieści głębokiej ideologicznie, zdolnej oddziaływać i przeorywać dusze ludzkie dla nowego życia. Prawda, świadomość i wyobraźnia, dla tych nowych form życia, rodziła się powoli i nie zawsze pracowała w słusznym kierunku. Wielu np. z piszących wyobraża sobie „postęp" jeszcze mechanicznie na modłę „postępu" w ustroju kapitalistycznym, podając za wzór dobrobyt takich krajów kapitalistycznych jak: Dania, Szwecja, Norwegia. Zwłaszcza starsi chłopi nie rozumieli istoty rewolucji, zbyt często jeszcze brzmiały w ich wypowiedziach tony koncepcji agrarystycznych, niedocenienie roli przemysłu w nowym ustroju, jakieś nieprzezwyciężone poczucie niższości, przejawiające się w mniemaniu, że chłop jest ciągle dużym dzieckiem, któremu trzeba dać do rąk jakąś specjalną książkę. Z drugiej zaś strony zjawia się wyraźnie korygowanie tematu ankiety. Piszącym bowiem nie chodzi o to, jakiej powieści chce wieś, ale jakiej powieści chce i potrzebuje społeczeństwo, naród polski.

Niemniej, mimo tej niepełnej świadomości rewolucyjnej, piszący mówią o ideologicznym głodzie literatury. Wieś spodziewa się od literatury upewnienia: „czy procesy dziejowe, które ta wojna wywołała i przyśpieszyła, są już nieodwołalne, czy też to tylko zwyczajny chaos powojenny". W tym zdaniu znakomicie określona została postawa chłopa po reformie rolnej, po tym niepełnym jeszcze etapie rewolucji.

Tego wyjaśnienia procesów historycznych żąda od literatury czytelnik wiejski pisząc: „słusznie jeden z parcelarzy, co ziemię otrzymał z reformy rolnej w Zajezierzu, pow. lipnowskiego powiada mi: — „Gdy szliśmy na Kijów, to generałowie, ministry i panowie ziemię nam obiecywali, a teraz przyszedł taki sam jak i ja, w roboczej bluzie, działkę mi wymierzył i mam ziemię". Jak to się stało? Oto skrót historii i rewolucji zawarty w tym jednym pytaniu skierowanym pod adresem literatury.

Wszyscy bez wyjątku uczestnicy ankiety opowiadają się wyraźnie za realizmem w metodzie i stylu powieści oraz za typowością przedstawianych w niej wydarzeń i ludzi. Co prawda, nie wszyscy rozumieją należycie pojęcie realizmu. Są wypowiedzi polemizujące z metodą realizmu, ale z toku tej polemiki wynika, że chodzi im raczej o naturalizm, który zwalczają. „Powieść, ażeby należycie spełniała swoje zadanie, nie może być migawkową grą wyimaginowanych fantazji, nie mających nic wspólnego z życiem, lecz wziętym z życia wiernie odmalowanym, lecz mającym mocniejszą tonację konturów obrazem. W pożądanej powieści nie może życie bohaterów układać się zbyt łatwo, muszą być częstokroć wielkie trudności życiowe i gorzkie zawody, a często nawet przed samym celem droga się zawali i wszystko jakby zostaje stracone, bo tak przecie bywa w życiu. Ponad wszystkim jednak musi dominować silny charakter postaci i nieugięte ich postępowanie w dążeniu do celu".

Ciekawie i plastycznie dochodzi jeden z piszących do pojęcia typowości w literaturze realistycznej. Wychodząc od „Młodego pokolenia chłopów", która to książka wydała mu się „najpiękniejszą powieścią", dochodzi do wyobrażenia takiej powieści, która od zbiorowej książki życiorysów będzie doskonalszą o element kompozycji i artyzmu. Ale pisana będzie jakby przez wielu ludzi, których przeżycia złożą się na szeroki, barwny obraz życia. „I to obraz prawdziwy, taki jaki jest, prosty bez osłonek, bez upiększeń bez złudzeń, choć z dodatkiem fantazji zdrowej, czy humoru. Obraz życia będzie bogaty w szczegóły, widziany z dołu, z góry... z różnych wysokości, oczyma ludzi stojących na różnych stopniach cywilizacji". Z realizmem i typowością łączy się nierozerwalnie pojęcie pozytywnego bahatera. Kim zaś ten bohater o silnym charakterze i nieugiętym postępowaniu w dążeniu do celu, jeśli nie bohaterem pozytywnym? Słusznie po bohaterach wieś sądzi powieści, odrzuca je, gdy bohater jest jej obcy, przyjmuje gdy jest bliski, swój, gdy zawiera w sobie i ucieleśnia jej wasne dążenia. Piszący omawiają bardzo dokładnie, ze szczegółami, postaci pozytywnego bohatera, jego dzieje, prace społeczne, nawet życie rodzinne. „Bohaterami powieści — pisze ktoś inny — powinny być typy mocne fizycznie i duchowo, nieustępliwe w walce o byt, zdecydowane do walki o ideały, o szerokich horyzontach patrzenia na świat"... Bohaterem powieści nie musi być — rzecz jasna — chłop. „Chcę poznać życie klasy robotniczej w jej warsztatach i fabrykach, w jej dążeniu ku lepszym warunkom bytowania" — pisze inny. Jedna z kobiet — uczestniczek ankiety — domaga się powieści, której bohaterką byłaby kobieta wiejska. Byłaby to kobieta — społeczniczka, kobieta „zorganizowana", która „nie siada pod kądzielą, jak nasze prababki za czasów pierwotnych, plując resztkami ślin w palce", lecz kobieta przyszłości, która nienawidzi zacofania i ciemnoty.

Z wielu wypowiedzi naszej ankiety, wynikała już, o czym wspomnieliśmy, ogólna tęsknota do wielkiej epopei, która by w wymiarach historycznych ukazała przeszłość klasy chłopskiej, jej uciemiężenie, bunty i zrywy, jej dolę w ustroju Polski sanacyjnej, następnie męczeństwo i walkę z okupantem faszystowskim, następnie zaś rewolucję i nowe nadchodzące życie. W tej tęsknocie do epopei chłopskiej wspaniale wyraził się historyzm zainteresowań chłopów, poczucie przeżywania przełomu historycznego. „Moja powieść — czytamy — powinna uwzględniać przede wszystkim ten historyczny moment przełomowości naszych czasów, to kruszenie się starych form bytowania społecznego i krystalizowania się nowych form, tę rozdrożność charakterów ludzkich. Powinna, będąc powieścią uspołecznioną — odznaczać się głębokim spojrzeniem w historyczno - społeczne procesy ludzkości i swego narodu".

Mówimy dziś wiele o schematyzmie. „Schematyzm" — to oczywiście co innego niż „schemat", to ogranie schematu, to nieumiejętność wypełnienia schematu życiowego ludzką, prawdziwą treścią. W projektach powieści wysuwanych przez uczestników ankiety „Wsi" mieliśmy gotowe schematy powieści. Niektóre raziły swoją naiwnością, wiele z nich było odczytaniem schematu typowej powieści kapitalistycznej — powieści o dorobku, lub o indywidualnym awansie w systemie kapitalizmu, wiele schematów kroczyło śladami historii ostatnich lat, były zaś takie, które wytyczały drogę bohaterowi pozytywnemu realizmu socjalistycznego, które wskazaniami typowości, optymizmu, perspektyw zwycięstwa wyprzedzały po prostu oficjalne nasze postawienie problemu realizmu socjalistycznego.

Literatura radziecka później utorowała sobie drogę na wieś, już po roku 1946. Kilka wypowiedzi jednak kieruje się ku tej literaturze, ku wspaniałemu rozwojowi współczesnej powieści radzieckiej, która jest powieścią o chłopie i o uczonym, powieścią dla chłopa i dla uczonego. Wśród poznanych pisarzy radzieckich pada nazwisko Szołochowa. Uczestnicy naszej ankiety w 1946 roku nie wiedząc o tym dochodzili z wielu stron do jednego problemu, do powieści realizmu socjalistycznego. Z późniejszych lat mieliśmy wypowiedzi chłopów na temat konkretnych poznanych już powieści radzieckich. W tych głosach czuliśmy się już daleko poza atmosferą mglistych postulatów ankiety z 1946 roku. Wiele czytelniczych głodów i tęsknot tu znalazło zaspokojenie. Przyszły także polskie współczesne książki o wsi i o klasie robotniczej. Jak zostały przyjęte? Jak są oceniane przez masowego czytelnika na wsi? Odpowiedzi na te pytania otrzymujemy już w bardziej powszechnym zakresie od bibliotekarzy, wydawnictw, działaczy oświatowo - kulturalnych na wsi i indywidualnych czytelników. Śledzenie opinii czytelników na temat bieżącej produkcji literackiej — to obok ścisłych problemów krytyki literackiej, którym poświęca się Plenum Związku Literatów — drugie kapitalne zagadnienie warunkujące stan i dalszy rozwój naszej literatury.

Anna Kamieńska

TADEUSZ MURAS

W sprawie czytelnictwa i bibliotek

1951 rok był rokiem wielkich osiągnięć w dziedzinie czytelnictwa. Wystarczy wskazać na masowe i tanie wydawnictwa przy gazetach partyjnych i na formy rozprowadzania książek: przez kolporterów przy zakładach pracy, przez kiermasze, czy urzędy pocztowe. Wystarczy wskazać na ilość bibliotek i punktów bibliotecznych na wsi, których ilość osiąga już 32 tysiące z ilością tomów przekraczającą 4 miliony. Wystarczy wskazać na odbywający się konkurs dla czytelników bibliotek wiejskich, w którym w I etapie wzięło udział około 3000 zespołów i 727.000 uczestników indywidualnych. Można wreszcie wskazać na wydawnictwa dla czytelnika wyzwolonego z analfabetyzmu, np. „Biblioteka żołnierza", „Książka nowego czytelnika" itd. Ale mimo wielkich osiągnięć czeka nas wciąż jeszcze wielka praca w organizowaniu sieci bibliotek, aby książka docierała w sposób zorganizowany i stały choć do połowy polskich wiosek. Wszak nawet spółdzielnie produkcyjne nie wszystkie posiadają punkty biblioteczne.

W specjalnej sytuacji w zakresie czytelnictwa znajduje się wieś, bo jesli idzie o środowiska robotnicze, są one zaopatrzone w dość gęstą sieć biblioteczną, bądź to po linii Rad Narodowych, bądź to po linii związkowej. Dużą rolę odgrywają tu również kolporterzy „Ruchu", których ilość w samej Warszawie sięga tysiąca. W zakresie porady dla czytelnictwa pierwszorzędną rolę odgrywa dobór pozycji poszczególnych wydawnictw, jak również atmosfera miast, skupiających szkoły średnie i wyższe, gdzie ucząca się młodzież pełni rolę czynnika pobudzającego czytelnictwo i reklamującego najcenniejsze pozycje literackie.

*

W roku 1952 akcja upowszechnienia czytelnictwa na wsi winna — moim zdaniem — zrealizować kilka zadań podstawowych.

Pierwsze zadanie to świadome rozszerzenie bazy czytelniczej wśród **małorolnych.** Rewolucja proletariacka na wsi opiera się — jak głosi leninowskie hasło — na biedniakach. W walce z kułakiem i w pracy nad pogłębieniem sojuszu ze średniakiem proces **kulturalnej emancypacji biedniaka** musi być wzmagany w stopniu coraz większym. Zahukanie, brak wiedzy, nieśmiałość — te społeczno - kulturalne obciążenia, jakie jeszcze gnębią małorolnych, jakich jeszcze w pełni nie strząsnęła biedota — otwierają przed akcją czytelnictwa wielki i ważny front walki.

Drugie zadanie to uczynienie z ośrodków socjalistycznej gospodarki na wsi (spółdzielnie produkcyjne, POM-y, PGR-y) również **przodujących** ośrodków socjalistycznej kultury. Chłopi ze wsi indywidualnie gospodarujący winni tu znaleźć wzór nowego człowieka, styl nowego życia, podbijający nowymi namiętnościami, pęd do wiedzy i kultury. Nie można tych dwu zadań odrywać w socjalistycznych ośrodkach: budowy nowej bazy od rozwoju nowej nadbudowy. Dają one pełnię dopiero w całości najmocniej przekonywującą chłopów indywidualnych, dają one pełnię rozwoju samym zespołom, ugruntowującym socjalizm na wsi.

Trzecie zadanie. Nie można akcji upowszechnienia czytelnictwa ujmować wąsko, obciążając ją i kontrolując tylko przez instytucje do tego specjalnie powołane. W terenie bowiem to wielkie rewolucyjne zadanie ograniczyłoby się w zakresie kierownictwa — do bibliotekarza, nauczyciela i amatorów, jacy organizują zespoły czytelnicze. Nie można oddzielać i odrywać akcji czytelniczej od pracy **politycznej i gospodarczej.** Wszak typowy podział każdej biblioteki w terenie obejmuje trzy grupy książek: beletrystykę, polityczno - społeczne i techniczno-rolnicze wydawnictwa. W powieściach odbijają się sprawy, o jakich naukowo i publicystycznie traktują dwie pozostałe grupy. Trzeba zatem, aby podnoszenie kultury (poprzez czytelnictwo) stało się sprawą polityczną, sprawą rewolucji dla wszystkich działaczy i aktywistów w terenie. Wielokrotnie stwierdzamy, że działacz polityczny nie jest oczytany w literaturze z tego zakresu, podobnie bywa z gospodarczymi. Praktyk - hodowca czy plantator, kierownik grupy kontraktacyjnej, członek komisji w GRN i PRN winien przodować w czytelnictwie fachowym, winien być jego propagandzistą.

Czwarte zadanie to przygotowanie kadr bibliotekarzy i świadomych propagatorów czytelnictwa wśród działaczy terenowych.

Jedną ze szczegółowych spraw, jakie składają się na to zadanie, stanowi stała informacja o książkach, potrzebna dla bibliotekarza i tych wszystkich, którzy organizują zespoły czytelnicze, wreszcie dla samego czytelnika — chłopa.

Na temat tego zagadnienia słów kilka...

*

W „Poradniku Bibliotekarza", czasopiśmie przeznaczonym dla użytku kierowników małych bibliotek w terenie, często w korespondencjach proszą bibliotekarze o obszerniejsze recenzje z książek, jakie przychodzi im najczęściej ludziom polecać. Ale „Poradnik Bibliotekarza" nie jest w stanie sprostać zapotrzebowaniu na recenzje o wszystkich książkach, choć umieszcza po kilka recenzji z najnowszych książek i prowadzi kronikę recenzji i artykułów o literaturze, jakie ukazały się w danym okresie w czasopismach literackich. Podaje również bibliografię do zagadnień, z którymi bibliotekarz spotka się w nadchodzącym sezonie. Prowadzi także bogaty dział informacji techniczno-organizacyjnych, co stanowi wielką pomoc dla bibliotekarzy.

Dużą usługę w terenie oddać może również czasopismo „Nowe Książki", wydawane przez dział informacji Komisji Wydawniczej przy Radzie Państwa. Ale czasopismo to do bibliotek gminnych nie dociera. Jego nakład 15.000 egzemplarzy jest zbyt mały, żeby zaspokoić zapotrzebowanie dotychczasowe i zaopatrzyć w nie bibliotekarzy na wsi. W dodatku w zakresie informacji o literaturze pięknej nie spełnia swego zadania nawet w części. Lepiej natomiast ma rozwinięty dział informacji o literaturze popularno - naukowej i politycznej.

W zakresie informacji o zawartości dzieł literatury pięknej pracuje niedocenione wydawnictwo „Wiedzy Powszechnej" **„Dobra książka — Informator dla czytelników".** Jedyni, którzy docenili to wydawnictwo, to gimnaziści i licealiści (nierzadko również studenci). Uznali je za pierwszorzędne bryki. Książeczki te na kilku, kilkunastu stronach zawierają życiorys autora z wykazem jego najważniejszych dzieł, informacje o epoce, w której żyje i działa autor i w której dzieje się akcja książki, najważniejsze problemy utworu, zagadnienia do dyskusji i bibliografię.

Z książeczek tych nie korzystają bibliotekarze w terenie. Przede wszystkim dlatego, że nie docierają one do tych placówek. Cały nakład rzucany jest do sprzedaży miejskiej i rezultat taki, że gdy pierwsze 30 numerów wydawano w 20.000 egz., następne 26 numerów już w 10.000 egz., obecnie tylko w 5.000. Gimnazjalista ma wygodę, bo nie potrzebuje czytać wielkich dzieł Prusa, Szołochowa i Balzaka, a bibliotekarz w terenie boryka się dalej z trudnościami. Książki te są pomyślane jako informator dla **poszczególnego czytelnika.** Mają one zarówno reklamować dzieło jak i pomóc czytelnikowi należycie zrozumieć problemy utworu, a nawet nauczyć czytelnika samodzielnie oceniać książki. Przedsięwzięcie to, jeżeli nie będzie ściśle połączone z jakąś zorganizowaną formą pracy nad czytelnikiem, przyniesie pożytek jedynie uczącej się młodzieży.

Dlatego rzucam propozycję pod adresem wydawnictwa i instytucji, którym podlegają biblioteki terenowe, aby „Dobrą książkę" wydawać w ilości, odpowiadającej ilości przewidzianych placówek bibliotecznych w terenie i redagować tak, żeby mogły służyć bibliotekarzom, jako pomoc w ich pracy. Wymagałoby to jednak kilku (niewielkich zresztą) zmian w redakcji tych broszur.

Przede wszystkim należałoby zmienić „Zagadnienia do dyskusji" i dostosować do wymagań najliczniejszego czytelnika, tzn. czytelnika z wykształceniem podstawowym.

Weźmy np. zagadnienia do dyskusji z książeczki „Mikołaj Wirta i jego powieść pt. "Samotność". (Dobra książka nr 38).

„1. Przeciwieństwa klasowe na wsi. Siła i słabość chłopów w walce o sprawiedliwą przebudowę społeczną na wsi.

2. Metody walki kułaków z rewolucją.

3. Pomoc klasy robotniczej w organizowaniu chłopów do walki z kułactwem. Rola Partii bolszewików.

4. Jakie czynniki decydują o przynależności klasowej chłopa.

5. Droga dojrzewania ideologicznego biedoty wiejskiej i średniego chłopstwa (na przykładzie bohaterów powieści).

6. Walka o socjalistyczną przebudowę wsi w Związku Radzieckim i u nas".

Zagadnienia te, jakkolwiek wybrane skrupulatnie i słusznie nie nadają się do wykorzystania przez bibliotekarza lub prowadzącego dyskusję w zespole czytelniczym. Są one zbyt ogólne.

W dyskusji między ludźmi ze wsi należy wyjść raczej od spraw **szczegółowych.** Najlepiej od określonych wydarzeń z akcji książki, obrazujących jakieś ważne i aktualne w tym środowisku zagadnienie. W nr 42 „Dobrej Książki" „Marcin Andersen Nexö i jego powieść „Pelle Zwycięzca" — pytanie czwarte „Dlaczego Pelle nie był zwycięzcą?" już odpowiada tym wymogom. Ale pozostałe pytania są znów za ogólne. Np. pytanie pierwsze: „Walka klasowa na wsi duńskiej w latach 1877 — 1905" nie nadaje się do dyskusji. Ale kilka pytań takich, jak: „Dlaczego tata Lasse porzucił gospodarstwo"? Lub „Dlaczego Pelle z ojcem nie mogli odejść od Kongotrupa? i wiele innych pozwolą omówić te wydarzenia, doprowadzając do głębszego zrozumienia walki klasowej na wsi.

Tadeusz Muras.

TADEUSZ ALEKSANDER JASIŃSKI

PIERWSZE RADY

(Fragment powieści)

KONIE biegły szybkim, jednak równym kłusem. Mijali właśnie Nielub. Bryczka turkotała po bruku. Na odgłos turkotu, mimo wczesnej pory, z dworskich chałup wytykano głowy. W oborze krowy ryczały tak głośno, jak gdyby nie były nakarmione od kilku dni. Czyżby i tu ludzie zastrajkowali, jak na innych majątkach?

Jadących bryczką trzęsło niemożliwie. Na szczęście odcinek szosy brukowanej ciągnął się tylko około 200 metrów wzdłuż zabudowań majątku. Od Nielubia do Wąbrzeźna ciągnęła się już gładka kamienno - żwirowa szosa. Górzyński palił fajkę a Kasyna kierował końmi. Nie mówili wiele do siebie, tylko rozmyślali o czymś usilnie. Mówiły o tym ich zasępione i poważne twarze.

Po obu stronach szosy rozciągały się duże pola nielubskiej, słabo widoczne z powodu mgły, zieleniejące się świeżą pszenicą i żytem. Za nimi były pola z niewykopanymi jeszcze ziemniakami, burakami cukrowymi i pastewnymi. Na gromadkach leżała poprzykrywana liśćmi z powodu przymrozków wyrwana już brukiew. Należało ją tylko pozwozić do kopców. Roboty, jak z tego widać jeszcze dużo, ale na polach nie ma żywej duszy. Listopadowe dni, mimo że pogoda była jeszcze łagodna, kazały spodziewać się silniejszych mrozów. Poranna mgła opadała powoli. Była tak gęsta, że na kilka kroków przed końmi nie było nic widać. Był to zwykły listopadowy poranek. Nie można było nawet wywnioskować, czy nastąpi dzień pogodny, czy też deszczowy.

Wjechali z gładkiej szosy na brukowane ulice przedmieścia Wąbrzeźna. Po lewej i prawej stronie unosiła się gęsta mgła nad powierzchniami obu jezior. Przed nimi zaczęły się wyłaniać z mgły domy ulicy Chełmińskiej. W górze, nieco na lewo, sterczała pod niebo wieża kościoła katolickiego. Minęli rynek, kościół ewangelicki i wjechali na ulicę Kolejową. Konie i bryczkę zostawili w zajeździe i wyszli na ulicę. Mijało ich wielu ludzi, śpieszących, jak gdyby ich kto gonił. Rytm życia miejskiego onieśmielał ich nieco. Kroczyli obok siebie, nie śpiesząc się. Przed piekarniami i sklepami mięsnymi stały tłumy ludzi. Zaopatrzenie ludności w artykuły pierwszej potrzeby było nadzwyczaj słabe. Wojska niemieckie, czując nadciągającą klęskę rabowały wszędzie tam, gdzie jeszcze coś do zrabowania zostało. Ale te drobne grabieże dałyby się jeszcze odczuć najmniej. Największą szkodę czyniły masowe rabunki na rozkaz dowództwa niemieckiego. Podlegało im przede wszystkim zboże i trzoda chlewna. Dziedzice, gospodarze polscy i niemieccy początkowo otrzymywali w zamian pieniądze, później pokwitowania, których wartość nigdy nie została zrealizowana. Przepełnione transporty zboża i żywca kierowano na zachód, do Cesarstwa. Dlatego widzieli tylu ludzi okupujących sklepy.

Pragnęli zasięgnąć języka w sprawie Rad, ale nie znali tu nikogo. Minęli trzech mężczyzn z czerwonymi kokardkami na klapach płaszczy.

— Słuchajcie! Może to oni, odezwał się Kasyna.

— Nie wiym! Ale chyba jó, odpowiedział Górzyński. Przecie czerwone, to robotniczy kolor!

— Gdy będzie szedł jeszcze ktoś z kokardką, to go zaczepimy! Co?

— Myślę, że jó! Innej rady nie ma.

Doszli do rynku i zawrócili. Naprzeciw nich szedł trzydziestoletni może, barczysty mężczyzna. Na piersiach munduru marynarskiego miał czerwoną kokardkę. Mimo zimnego poranku szyję miał gołą. Piersi pod marynarką przysłaniała cienka koszulka w poprzeczne czarne paski. Na głowie miał czapkę z napisem „Kiegsmarine" *).

Kasyna spostrzegł się zbyt późno. W ostatniej chwili zorientował się, że to chyba nie Polak.

— Proszę pana, czy...

Ale rozpoczęte zdanie trzeba było już dokończyć, bo marynarz zatrzymał się i patrzył na nich pytająco.

— Proszę pana — zaczął znowu— czy pan może wie, czy w Wąbrzeźnie jest już Rada Ludowa i gdzie ona się mieści?

Twarz marynarza wyrażała zakłopotanie. Kasyna czuł się również strasznie głupio, bo teraz już upewnił się, że się pomylił. Chciał już przeprosić go po niemiecku, gdy marynarz uśmiechnął się i powiedział:

— Fragen sie, wo ist „Rada Ludowa", ja? Wen ich gut ihnen verstanden habe? Sonst ich verstehe blouss die zwei wörte polnisch**). Roześmiał się rozbrajająco.

Górzyński i Kasyna potwierdzili, że dobrze zrozumiał i że oni go również dobrze rozumieją.

Marynarz uśmiechnął się jeszcze raz przyjaźnie i zaproponował, że ich zaprowadzi do lokalu Rady. Rozmowa toczyła się już teraz w języku niemieckim.

— Jesteście ze wsi, jak mi się zdaje? zapytał ich marynarz.

Potwierdzili mu.

— Ja właściwie też. Urodziłem się na wsi. Moi rodzice mieli małe gospodarstwo, a dzieci dużo. Gdy trochę podrosłem, poszedłem do miasta, do fabryki. A u was na wsi już macie Radę? — zapytał ich.

— Jeszcze nie, ale chcemy stworzyć, odpowiedział Górzyński, który nabrał do marynarza zaufania, już po kilku wypowiedzianych przez niego zdaniach.

Kasyna szarpnął go ostrzegawczo za rękaw.

Marynarz ciągnął dalej:

— Tak, macie słuszność, Rady trzeba tworzyć! Jeżeli my nie weźmiemy sie w kupę, to burżuje nam pokażą, gdzie grzyby rosną.

Kasynę i Górzyńskiego dziwiło to, o czym im mówił. Nie mogli zrozumieć, co marynarz myślał prze słowo „my" i „burżuje". Znaczenie słowa „my", rzecz jasna rozumieli, tylko nie wiedzieli, czy odnosi się ono wyłącznie do Niemców albo do Polaków, czy też do jednych i do drugich. Ze słowem „burżuje" nie spotkali się jeszcze nigdy.

— Oni tylko czekają na naszą słabość. Nasi w Berlinie walczą z nimi, tam w sercu mojej Ojczyzny, a my musimy wszyscy razem tutaj dać im radę. Burżuje są wszędzie ci sami. Obojętne, czy noszą polskie, czy niemieckie nazwiska. Zawsze będą przeciw robotnikom i chłopom. My musimy być przeciw nim, bo rozdepczą nas jak pluskwy i znowu zamienią w woły robocze!

Gdy mówił, oczy jego pałały dziwnym blaskiem. Równocześnie twarz wyrażała wielką nienawiść do wrogów ludu. Było widać, że sprawie rewolucji oddał się cały, że był zdolny bić i gromić wrogów, a całować i ściskać przyjaciół. To nowe w narodzie niemieckim niezmiernie dziwiło Ryńszczan. Dotąd spotykali się z pychą z ich strony, z chęcią panowania nad Polakami. Niemcy nie liczyli się z tym, że oni chcieliby też mieć swoją Ojczyznę. Tylko taką, w której byłaby sprawiedliwość.

— Wy macie Rady Ludowe, ciągnął dalej marynarz, a my „Arbeiter und Soldaten Rat" — takie jak w Rosji. Tylko jest jedno niedobre. Tak do naszych, jak i do waszych wkradają się burżuje. Niby zrobili się czerwoni! A poźniej będą nam przeszkadzać w robocie. My z tym walczymy i wy musicie to samo robić!

Górzyńskiemu, gdy słuchał marynarza, zdawało się, że słyszy dawno już znane, tylko nie wypowiedziane jeszcze przez nikogo myśli. Widać, że słowa ich przewodnika oparte były na długim doświadczeniu walk strajkowych i ciężkim życiu.

Kasynie wszystko to wydawało się zbyt ostre, pachnące krwią. Nie lubił przelewu krwi.

Nie lubił tego również i Górzyński, ale czuł, że marynarz ma rację. Wiedział, że ci „burżuje" dobrowolnie nie zrzekną się tego, co przez tyle wieków uważali za swoje. Tego, co zdobyli na krzywdzie i pocie często mieszanym z krwią chłopów i robotników. Trzeba sięgnąć po to siłą, tak samo jak oni siłą to wszystko zagarniali.

— No, oto i wasza „Rada", powiedział wskazując na lewo, gdzie stał dom z wiszącą na nim biało-czerwoną chorągwią.

Żegnając się powiedział:

— Po południu o pierwszej urządzamy wiec. Przyjechał nasz towarzysz z walczącego Berlina. Nazywa się Hinz. To nasz człowiek — z lewicy. Niezależny Socjaldemokrata. Spartakusowiec. Jeżeli macie ochotę, to przyjdźcie! Dobrze?

— Może bym przyszli, powiedział Górzyński, ale gdzie to się odbędzie?

— Po waszemu w „strzelnicy". O tam! Też na Kolejowej.

Silny uścisk dłoni wyrażał więcej jak zrozumienie wspólnego celu, o którym im tyle mówił. Wyrażał on przyjaźń. Uśmiechnięci rozeszli się.

...Marynarz kilka razy obejrzał się za wchodzącymi do Rady. Przyjazny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Odpowiedzieli mu tym samym.

2.

W „Radzie" nie było jeszcze wielu ludzi. Była zbyt wczesna pora. W poczekalni czekało kilku chłopów i chłopek craz spotkani na ulicy trzej robotnicy z czerwonymi kokardkami. Ściany były udekorowane biało - czerwonymi chorągiewkami. Na jednej ze ścian wisiał biały orzeł na czerwonym tle, namalowany najprawdopodobniej przez kogoś z młodych talentów malarskich. Wyglądał trochę niezgrabnie. Obramowanie jego stanowiły stare złotawe ramki. Najprawdopodobniej mieścił się w nich do niedawna jeszcze Bismarck albo Wilhelm II.

Trzej robotnicy rozmawiali z ożywieniem. Wszyscy wokoło przysłuchiwali się im z wielkim zainteresowaniem.

— A ja ci mówię, przekonywał jeden z nich, brunet, odwracając się do robotnika w poszarpanej kurtce, że jak sam się nie upomnisz o swoje prawa, to nic z tego nie będzie.

— Trzeba siłą, dodał blondyn.

— Towarzysze! Przecież ja wcale nie mówię, że nie, ale czy to jest odpowiednia chwila? Czy aby nie za wcześnie?

— Teraz albo nigdy, ciągnął dalej brunet. We wszystkich miastach aż kipi, takie wrzenie. A na wsiach chłopi też myślą, jak z panami skończyć. Już nie jeden dziedzic po głowie dostał!

— Wygląda na to, mówił blondyn, że tak samo prawie w całej Europie. W Rosji bolszewicy trzymają się mocno. Na Ukrainie Niemcy już się cofają. Na ich tyłach już też rewolucja. Podobno robotnicy i chłopi idą tam razem. Nie patrzą nawet: Ukrainiec, Polak czy Żyd. Tylko szlachta polska podobno przeciw nim walczy. Nawet Niemców do pomocy bierze.

— Dla nich, odezwał się robotnik w poszarpanej kurtce, każdy kto pójdzie z nimi przeciw nam, to przyjaciel. Dlatego ja się boję, czy do tego samego tutaj nie dojdzie. Od pełnego koryta nikt dobrowolnie nie odchodzi.

— Więc tak jak mówię, ciągnął blondyn, sytuacja jest niezwykle dogodna. Sieć „Rad" obejmuje szybko gminy. Chłopi poszliby z nami. Są głodni ziemi, a bieda myśleć ich

Rys. H. Jarosz

nauczyła. Trzeba ich tylko zorganizować. My na dole to widzimy, a ci na górze w Poznaniu. Korfanty, Seyda i inni nie mieliby tego widzieć? Ja myślę, że widzą, tylko obawiają się tak samo rewolucji, jak burżuazja. Dają tylko głosłowne hasła: Ojczyzna, Wielka Polska, solidarność społeczna wszystkich Polaków itd. Jakby nie dostrzegali istnienia klas. Do „Rad" chcą nam teraz wepchać „przedstawicieli wszystkich warstw społecznych", uważacie? A więc burżujów, dziedziców i drobnomieszczaństwo, czerwone od dnia wczorajszego. Każdy rozumny robotnik wie do czego to musi doprowadzić. Towarzysze z Arbeiter und Soldaten Rat to też dostrzegają i mówią, że u nas może dojść do unieszkodliwienia działalności Rad od wewnątrz, a w końcu do ich likwidacji.

— Jeszcze do tego dojdzie, powiedział brunet, że będą chcieli nas pokłócić z niemieckimi towarzyszami. Oni wiedzą, że jak się lud weźmie do czego razem: Polak, Rosjanin, Węgier, Austriak czy Niemiec, to musi zwyciężyć i swoją wolę im narzucić. To jest, towarzysze, niebezpieczna historia. Robotników jest mało, bo uprzemysłowienie na Pomorzu słabe i ani my, ani chłopi nie jesteśmy dobrze zorganizowani. Partii u nas nie ma, a z środkową Polską łączność jeszcze nie nawiązana.

— Tak, sytuacja jest trudna, chociaż jak mówicie równocześnie niezwykle dogodna, powiedział ten w obszarpanej kurtce. Jesteśmy mimo wszystko zbyt słabi, żeby utrzymać Rady, wyłącznie w naszych rękach. Na polu walki może bylibyśmy silniejsi, a tu w obradach gabinetowych nie damy im rady. Wepchną się na siłę. O Powiedzą, że zdradzamy naród, ojczyznę, że idziemy razem z Niemcami i bolszewikami. Zaczną szerzyć propagandę antykomunistyczną, aby przeprowadzić swoje! Zobaczycie! Będą mieli do swojej dyspozycji pieniądze, ambonę i konfesjonał. Przecież nie wszyscy myślą o Polsce takiej, jak my! Takich, jak my jest mało! Jeszcze bardzo mało! Reszta myśli po prostu: grunt, że będzie Polska. Ale jaka, albo kto będzie w niej rządził, o to nikt się nie przejmuje. A przecież to nasi ludzie, tylko nie są jeszcze uświadomieni. Mogą jeszcze ich wykorzystać przeciw nam!

— Masz słuszność, potwierdził blondyn. Ludzie oczekują tej Polski z upragnieniem i kochają ją tak bardzo, jak tylko może swą ojczyznę kochać prawdziwy patriota. A przecież nikt z nas jej nie pamięta. Dla nich Polska oznacza zniesienie wszystkich krzywd i niesprawiedliwości oraz lepszą, spokojną przyszłość. Tyle lat na nią czekają, że się nawet nie ma czemu dziwić. „Niech tylko będzie Polska, a wszystko samo przez się będzie dobre". Nie rozumieją, że prawdziwą, sprawiedliwą Polskę, w której by było tak, jak oni pragną, może tylko wywalczyć lud. Że trzeba przegonić bogaczy i oddać ich dobra narodowi. A widzicie, jeszcze nie wszyscy to rozumieją i to jest nasza słaba strona. Trzeba będzie uświadamiać i walczyć o to, aby...

Drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł jeden z robotników.

— Słuchajcie, towarzyszu! — zwrócił się do chłopów. — Czy u was w gminach są Rady?

— Nie — odpowiedzieli prawie równocześnie — my akurat w tej sprawie przyjechali, odezwał się Kasyha.

Tadeusz Aleksander Jasiński.

*) Marynarka Wojenna.

**) Pytacie się gdzie jest „Rada Ludowa" tak? jeżeli was dobrze zrozumiałem? Bo ja tylko rozumię te dwa słowa po polsku.

W republice ludu pracującego

Haberko Marianna — członek spółdzielni produkcyjnej w Łobzowie, amina Dłużec, pow. Olkusz, odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi.
CAF — fot. Jorochowski

Drobiarka Cecylia Pierun
CAF — fot. Baranowski

ANDRZEJ SKIBA

U źródeł amerykańskiego imperializmu

NIE ma chyba i nie było państwa na kuli ziemskiej — poza jednym, krótkotrwałym wyjątkiem Trzeciej Rzeszy — gdzie niedotrzymywanie zobowiązań należałoby do tak stałych i niezmiennych zjawisk jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jedyne odchylenie stanowią wewnętrzne stosunki panujące wśród możnych świata amerykańskiego; wielkie trusty i monopole, policja i gangsterzy, kardynał Spellman i Departament Stanu dotrzymują układów zawartych pomiędzy sobą. Ale tylko pomiędzy sobą. Poza tym Amerykanin i jego kraj dotrzymuje umów wówczas jedynie, gdy musi, albo gdy jest to dla niego wygodne. Przykładów najjaskrawszych dostarczają stosunki międzynarodowe. Cała, niemal bez reszty, polityka zagraniczna USA — to dzieje niedotrzymywanych i łamanych układów.

Po ogłoszeniu Doktryny Monroe, która miała na pozór izolować kontynent obu Ameryk od zgubnych oddziaływań reakcyjnych mocarstw europejskich, związanych „Świętym Przymierzem" — niektóre państwa Ameryki Łacińskiej, biorąc tekst deklaracji dosłownie i na serio, widziały w tym instrumencie zaborców coś w rodzaju płaszcza opiekuńczego, narzuconego przez potężniejszego sąsiada na ramiona słabszych. Nie można brać im tego za złe, skoro i dziś jeszcze osławiona doktryna — pierwowzór trumanowskiej — tak bywa przedstawiana, skoro nawet wśród publicystów lewicowych pokutują gdzieniegdzie takie przekonania — może z powodu nazbyt powierzchownego wniknięcia w zagadnienie. Słowem, wysnuwając logiczne, ale naiwne wnioski, państwa owe zaproponowały w Waszyngtonie zawarcie, w ramach Półkuli Zachodniej, układów wzajemnej pomocy. Ówczesny sekretarz stanu, a późniejszy prezydent, John Quincy Adams z oburzeniem sugestie te odrzucił. Rzecz jasna wszelki taki układ utrudniałby gwarantowi dokonywanie agresji wobec państw gwarancją obdarzonych. Stany Zjednoczone wolały zachować pełną swobodę w interpretacji doktryny.

A czyniły to w najbardziej nieraz karkołomny sposób. Tak więc Teodor Roosevelt w 1904 r. ogłosił się na jej podstawie ni mniej, ni więcej, tylko „Policjantem Obu Ameryk". Dosłowna formuła brzmiała jak następuje: „Zważywszy, że naruszanie interesów stron trzecich może uczynić w Ameryce konieczną interwencję państwa cywilizowanego, Stany Zjednoczone, stojąc na stanowisku Doktryny Monroe, mogą się uznać za zmuszone w wypadkach koniecznych do sprawowania funkcji policji międzynarodowej". W trzydzieści siedem lat później jego wielki imiennik, Franklin D. Roosevelt zajął Grenlandię, powołując się również na Doktrynę Monroe.

Agresję planowały sfery kierownicze USA od chwili swego powstania. Już w trakcie sojuszu z Francją, zawartym 6.II.1778, czyli jeszcze przed osiągnięciem niepodległości Stanów, znalazła się klauzula rezerwująca im „prawo" podboju Kanady. Słynny „Zakup Luizjany" w roku 1803 — terytorium znacznie rozleglejszego niż cały podówczas obszar USA — oraz podbój Florydy nie obyły się bez zastosowania matactw, jakich niepowstydziłaby się intrygancka, wykształcona na Macchiavellim, dyplomacja starych europejskich monarchii. Zaznaczmy tu, że Luizjanę kupiły USA od Francji nie mając pieniędzy, a cenę kupna uiściły już w czasie wojny anglo - francuskiej, zaciągając pożyczkę w Londynie i złotem angielskim spłacając wojującego z Anglią Napoleona.

W czasie wojny St. Zj. z Meksykiem — r. 1846 — prasa „liberalna" stanów północnych pisała (i jakże słusznie): „Wie o tym cały świat, że Meksyk został napadnięty i że grabieżcą jest nasz naród. Meksyk jest Polską Ameryki. Wstępowanie do wojska, czy też uchwalanie choćby jednego dolara na prowadzenie tej wojny jest zdradą moralną przeciwko prawom człowieczeństwa. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych bije choć jedno serce godne wolności amerykańskiej — jego pierwszym odruchem powinien być pęd do złączenia się z Meksykanami i do wyparcia nikczemnych, niewolniczych najmitów najeźdźcy".

Ale wiemy skądinąd, że ten szlachetny idealizm podyktowała wyłącznie obawa, aby aneksja połowy Meksyku, jaka niebawem nastąpiła, nie wzmogła nadmiernie wpływów politycznych plantatorów feudalnego Południa ze szkodą dla rozrastającego się właśnie w tym czasie, przemysłowego kapitału Północy. Prezydent Polk, reprezentant Południa, nosił się nawet z myślą zagarnięcia całego terytorium Meksyku i, kiedy jego wysłannik Nicholas Trist, wobec zaakceptowania przez rząd meksykański wszystkich warunków kapitulacji, podpisał rozejm — Polk nazwał go „bezczelnym i niebywałym łajdakiem". Spodziewał się bowiem, że Trist okaże się łajdakiem „bywałym" i w myśl życzeń prezydenta zerwie rokowania, co pozwoli na dalsze prowadzenie wojny i podboju. Metody, nieudolnie stosowane dziś w Pan Mun Dżon, były wypraktykowane jak widzimy w sposób o wiele doskonalszy gdzieindziej. W przeciwieństwie do Polka północni Jankesi-kapitaliści uważali, że najpierw trzeba złamać przewagę gnijącego feudalizmu, a potem dopiero wstąpić na drogę niebawem ochrzczoną mianem **Niechybnego Przeznaczenia** (Manifest Destiny) Stanów Zjednoczonych. Podobnie było z Doktryną Monroe: spełniła w praktyce rolę zapory ideowej rezerwującej całą Półkulę Zachodnią dla ekspansji, coraz bardziej dynamicznego kapitału USA.

Tak wyglądały pierwociny polityki agresywnej USA. Późniejsze jej losów koleje były logicznym ich rozwinięciem. Po I-ej wojnie światowej Stany Zjednoczone odwróciły się pozornie od Europy i, chroniąc się za parawan mądrości „Ojców - Założycieli" republiki, odrzuciły traktat wersalski i pakt Ligi Narodów, pogrążając się w pozorną „splendid isolation". Nie przeszkodziło to organizowaniu różnych form hooverowskiej i innej „pomocy", za którą kraje „obdarowane" musiały płacić lichwiarskie sumy wraz z lichwiarskimi procentami. W tym czasie monopole amerykańskie konsolidowały swoją pozycję wewnątrz kraju. Wzmocnione i fantastycznie wzbogacone przez wojnę przystąpiły do wielkiego ataku na związki zawodowe i prawa robotnicze. To co się dzieje na tym odcinku obecnie, jest tylko wzmożoną repliką wydarzeń z lat dwudziestych. Fala reakcji zalała cały kraj. Okres ten znamionuje niezwykły rozrost Ku Klux Klanu, masowe areszty robotników, raidy policyjne organizowane przez osławionego prokuratora generalnego Parmera, mogące zawstydzić swym „rozmachem" Sławoja Składkowskiego i jego „chłopców golędzinowskich", morderstwa sądowe, jak słynna zbrodnia popełniona na Sacco i Vanzettim, wzmożone nasilenie linczu... Pamiętajmy, że z Ameryki do Europy przywędrowały nie tylko kartofle, pomidory i tytoń, ale również liczne instytucje i metody faszystowskie.

Równolegle z tym i korzystając z osłabienia Anglii i Niemiec, USA przystąpiły do ostatecznego podboju gospodarczego Ameryki Łacińskiej i Kanady.

Granice wyłącznej sfery wpływów swego kraju zakreślała polityka USA zawsze w zgodności z siłą i kierunkiem ekspansji kapitału USA. Najpierw, gdy monopole tworzyły się i wyrastały, terenem tym był rynek wewnętrzny; od schyłku ubiegłego stulecia — Półkula Zachodnia i Daleki Wschód. Obecnie zaś granice biegną od bieguna do bieguna, ekspansja usiłuje objąć wszystkie kontynenty globu. Nie jest to oczywiście monolit. Wysokie cła ochronne, pozostałość z czasów zupełnej niemal samowystarczalności, dziś są anachronizmem, zakłócającym tylko sprawność działania machiny eksportowej St. Zj. Takich przykadów możnaby przytoczyć więcej.

Nie zmienia to zasady ogólnej. Wszędzie gdziekolwiek sięgnął imperializm dolarowy, składnikowi czynnemu — otwarcie agresywnemu — towarzyszy składnik bierny — ów powściągliwy na pozór, sielankowo i pacyfistycznie nieraz udrapowany pozorny izolacjonizm, stanowiący w rzeczywistości najbardziej drapieżną, ciasną i zachłanną odmianę nadbudowy ideologicznej monopolistycznego kapitalizmu.

Taka jest treść istotna tego osławionego pojęcia, bez względu na to, czy szermują nim w swych hasłach wyborczych Republikanie, czy znajduje wyraz w Kongresie, w sposobie głosowania Demokratów Południa, czy wreszcie służy za narzędzie szantażu i presji politycznej i gospodarczej w stosunkach międzynarodowych.

Andrzej Skiba

MELVIN BEAUNEARUS TOLSON

CZARNA SYMFONIA*)

I. ALLEGRO MODERATO

Czarny Crispus Attucks
Uczył nas umierać
Jeszcze nim zdołał biały Patrick Henry
Wznieść przejmujący,
Niebotyczny okrzyk:
„Dajcie mi wolność, albo dajcie mi śmierć!"

Pariasi z aukcyjnych hal,
Czarni i mocni,
Rzuceni na ofiarny despotyzmu stos
Trwali pojąc się wiarą,
Co równoważy zło,
I w braterstwie oczyszczał się najnędzniejszy los.

Już żaden Banka duch
Nie wstanie przeciw nam
Zdawna ukrzyżowanym u boku łotra,
Oraczom zhańbionych ziem,
Twórcom złupionych dóbr,
O skroniach cierniem chciwości uwieńczonych.

II. LENTO GRAVE

Odwieczny patos naszych głosów
Przygnębia wielki biały świat,
A czarnoksięstwo naszych smutnych rytmów
Wyczarowuje duchy kolonialnych lat.

Czarni niewolnicy śpiewają JESZCZE JEDNA RZEKA
W katowniach niewolniczych statków,
Czarni niewolnicy śpiewają UCIECZKĘ DO JEZUSA
Karczując bagniste dżungle,
Czarni niewolnicy śpiewają UKRZYŻOWANIE
Na niewolniczych galerach o północy,
Czarni niewolnicy śpiewają PŁYŃ CICHO ŁODZI MIŁA
Na pokładzie śmierci,
Czarni niewolnicy śpiewają ZNIJDŹ MOJŻESZU
Na plantacjach Faraonów Południa.

III. ANDANTE SOSTENUTO

Każą nam zapomnieć
Golgotę naszej drogi,
Nam, napiętnowanym,
Wyjętym spod prawa...
Ci co w kajdany nas skuli
Żądają od nas pieśni,
Ci, którzy nas zniszczyli
Żądają pochwały Zła.

Każą nam zapomnieć
Że Demokrację zhańbiono,
Każą nam zapomnieć
Że prawa Człowieka spalono.
Trzysta lat trwa niewola
A jeszcze nie znać kresu,
Ciało i krew się buntuje,
Lecz nam każą zapomnieć!

O, jakże możemy zapomnieć
Że ludzkie nam prawa zabrano,
Zapomnieć że człowieczeństwo
Nasze ukrzyżowano?
Gdy Sprawiedliwość gwałcą,
Prośbę witają przekleństwem,
Gdy bramy Wolności zamknięte,
Jakże możemy zapomnieć?

IV. TEMPO PRIMO

Nowy Murzyn przemierza Kontynent
Krokami olbrzyma...
Nowy Murzyn,
Który wziął początek
Z mocarnych trzewi
Nata Turnera, męczennika za wolność,

Josepha Cinquez, Czarnego Mojżesza buntu w Amistad,
Fredericka Douglassa, wyroczni człowieka cichej wiary,
Sojournera Trutha, oka i ucha legionów Lincolna,
I Harriet Tubman, ratowniczki spragnionych wolności.

Nowy Murzyn
Obala bóstwa swych potwarców
I, łamiąc zmowę milczenia,
Przemawia do SWOJEJ Ameryki:
„Przodkowie moi, twórcy dziejów,
Pierwsi pszenicę siali na tej ziemi,
Budowali okręty, by zdobyć Siedem Mórz,
Wznieśli Imperium Bawełny,
Spięli kolejami pół ziemskiego globu,
Dobyli rudy żelazne i węgiel,
Przebili góry, mosty rzucili przez rzeki,
Zbierali ziarno i trzebili lasy,
Strzegli Trzynastu Kolonij,
Zatknęli sztandar na biegunie północnym,
Stoczyli tysiąc bitew za Republikę".

Nowy Murzyn,
Jego dłonie olbrzyma wznoszą mury wspaniałych gmachów,
Jego Sztuka uczy świat płakać i śmiać się,
Jego głos Braterstwem Pracy grzmi,
Jego wiedza siedem cudów stwarza,
Jego twórczość jest dla wrogów wyzwaniem.

Nowy Murzyn,
O twardych mięśniach, z sercem co tętni Demokracją
I nienawiścią faszyzmu,
Zmierza krokami olbrzyma
Szlakiem Dzisiejszości
Do Ziemi Obiecanej Jutra!

V. LARGHETTO

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Traktory krwawym prowadzicie śladem
I nikczemnych płodzicie dla OWOCÓW GNIEWU —
Wy rodzicie nędzę, co KRAJOWCA rodzi —
Przekleństwo ziemi przez Ojców zdobytej.

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Baśń snując o chłopie, co stał się panem,
Robotnikom puste misy zostawiacie. —
Wyście mięsem wyborczym, a ludzi uczciwych
Ogłuszacie wrzaskiem swojej demagogii.

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Giełdą wstrząsają wasze sztuczne wrzaski,
A rozmnażacie się jak świnki morskie —
Nasz Chrystjanizm zmieniacie w namiastkę,
Demokrację i prawa plugawicie boskie.

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Krążycie w mroku, gdy sprawiedliwi śpią,
Wy — Piąta Kolumna, co rozsadza Ojczyznę
W nikczemnej chęci, by uczynić z Kraju
Rozległą Saharę splamioną faszyzmem.

VI. TEMPO DI MARCIA

Z przepastnych głębin Ciemnoty,
Poprzez labirynt Kłamstwa,
Poprzez pustynię Cierpienia...
Idziemy naprzód!

Z rozpacznych zaułków Nędzy,
Poprzez ostępy Przesądu,
Poprzez zapory Rasizmu...
Idziemy naprzód!

Razem z Ludami Świata...
Idziemy naprzód!

Przełożył Julian Stawiński

*) **Melvin Beaunearus Tolson** urodzony w Mobile w stanie Missouri — jednym ze stanów gwałtownie resistowskich — kształcił się w New Yorku. Jest profesorem anglistyki na uniwersytecie w Langston. Ogłosił szereg utworów poetycznych w czasopismach i wydał w 1944 tom wierszy „Rendez-vous with America" (Spotkanie z Ameryką). Zaczerpnięta z tego tomu **Czarna Symfonia** była nagrodzona na Wystawie Twórczości Murzyńskiej w Chicago. W celu objaśnienia należy zaznaczyć, że Lento Grave zawiera szereg nazw znanych murzyńskich pieśni religijnych, tzw. Spirituals. Tempo Primo — nazwiska wybitnych przywódców murzyńskich, zaś Larghetto — tytuły dwóch głośnych powieści.

AIME CESAIRE

Kolonizatorzy*)

WIDZĘ jasno szkody, jakie wyrządziła kolonizacja. Wiem, że zniszczyła wspaniałe cywilizacje indiańskie i wiem, że ani Deterding ani Royal Dutch, ani Standard Oil nie umniejszą mego żalu po Aztekach i Inkach.

Widzę jasno zgubę cywilizacji krajów takich, jak Oceania, Nigeria, Nyassa, którym kolonizacja zaszczepiła zarazek zniszczenia i rozkładu. Mniej jasno natomiast dostrzegam, co przyniosła pozytywnego.

Bezpieczeństwo? Kulturę? Sprawiedliwość? Jak dotąd, wszędzie, gdzie spotykają się z sobą twarzą w twarz kolonizatorzy i ludzie skolonizowani, dostrzegam siłę, brutalność, okrucieństwo, sadyzm, wzajemne ścieranie się, a w miejsce nowych formacji kulturalnych — ich parodię, pośpieszną fabrykację kilku tysięcy poślednich urzędników, służby tubylczej, rzemieślników, handlowców i tłumaczów niezbędnych dla dobrego biegu interesów.

Pomiędzy kolonizatorem a skolonizowanym nie ma miejsca na inne kategorie stosunków i pojęć, jak tylko pańszczyzna, zastraszenie, ucisk policyjny, podatki, kradzież, gwałt, przymus i wyzysk gospodarczy, pogarda, nieufność, zarozumiałość, pycha, brutalność, zdegenerowane elity i masy poniżonych.

We wszystkim tym ani śladu jakiegokolwiek zbliżenia człowieka do człowieka, a tylko stosunki władzy i poddaństwa, zmieniające kolonizatora w żandarma, strażnika więziennego i paganiacza, a krajowca w narzędzie produkcji.

Teraz na mnie kolej położyć znak równania: kolonizacja — d e h u m a n i z a c j a.

Słyszę jak na te słowa zrywa się burza protestów. Słyszę zapewnienia o „postępie", o „osiągnięciach", o „uleczonych chorobach" i „podwyższeniu poziomu życia".

Ja zaś mówię o wyzutych ze swej wewnętrznej treści społeczeństwa, o stratowanych stopami najeźdźcy kulturach, o podciętych tradycjach, zagarniętych ziemiach, unicestwionych arcydziełach sztuki, o zdławieniu ogromnych możliwości rozwojowych.

Rzuca mi się w twarz fakty, statystyki, kilometry szos, kanałów, dróg kolejowych.

Ja zaś mówię o tysiącach ofiar pochłoniętych przez Kongo-Ocean, mówię o tych, którzy w chwili, gdy piszę te słowa, wybierają rękami ziemię pod teren portu Abidżan. Mówię o milionach ludzi, których gwałtem pozbawiono ich bogów, ich ziemi, ich obyczajów, ich bytu — ludzi, którym wydarto przemocą ich radość, ich własny sposób życia i myślenia.

Roztacza się przede mną cyfry tonażu eksportowanej bawełny i kakao, hektary oliwek i winnic.

Ja zaś mówię o rozkładzie gospodarki dostosowanej do warunków miejscowej ludności, mówię o wyniszczeniu kultury rolnej, o systematycznym niedożywieniu, o kierowaniu rozwojem rolnictwa wyłącznie pod kątem korzyści dla metropolii, o rabowaniu produktów i surowców.

Słyszę przechwałki, że położono kres nadużyciom.

Ja też wspomnę o nadużyciach, po to jednak, aby powiedzieć jasno, że w miejsce dawnych — bardzo znacznych — wprowadzono nowe — budzące obrzydzenie! Słyszę, że poskromiono dawnych miejscowych tyranów; stwierdzam jednak, że porozumieli się oni na ogół doskonale z nowymi i że w wielu wypadkach zwąchali się z nimi, tworząc zgraną szajkę, działającą zgodnie na szkodę ludu.

Mówi mi się o cywilizacji, ja zaś mówię o pauperyzacji i kłamstwie.

Każdy mijający dzień, każde nadużycie prawa, każda represja policyjna, każde utopione we krwi żądanie robotników, każdy zatuszowany skandal, każda ekspedycja karna, każdy wóz pancerny, każdy Moch i każdy policjant uczą nas bronić społeczeństw niszczonych przez imperializm...

A więc, towarzyszu, twymi butnymi, zdecydowanymi i konsekwentnymi wrogami będą nie tylko sadystyczni gubernatorowie i krwawi prefekci, nie tylko fanatyczni w swym okrucieństwie kolonizatorzy i opaśli bankierzy, nie tylko szalbierczy politycy-czciciele czeków i przekupni sędziowie, lecz również, i dla tych samych przyczyn, jadowici dziennikarze i zbzikowani na punkcie dolara wołowaci członkowie Akademii, metafizyczni etnografowie, gadatliwi intelektualiści, których śmierdzący rodowód wywodzi się od Nietschego, lub upadli synowie jakiejś tam plejady, paternaliści, chwalcy fałszywego przymierza, demoralizatorzy, pseudoprzyjaciele, poklepujący cię dobrodusznie po ramieniu, amatorzy egzotyki, teoretycy podziału ludzkości, poeci fałszywie rewolucyjni a gorliwie szczekający na zamówienie, agraryści, usypiacze sumień, mistyfikatorzy, pyskacze i w ogóle wszyscy ci, którzy odgrywają jakąkolwiek rolę w plugawym sprzysiężeniu dla obrony zachodnio-europejskiego, burżuazyjnego społeczeństwa, wszyscy ci, którzy różnymi drogami, posługując się nikczemną dywersją, dążą do rozbicia sił Postępu — gotowi zaprzeczyć nawet samej możliwości Postępu — wszyscy poplecznicy kapitalizmu, wszyscy jawni czy skryci rzecznicy rabunkowej kolonizacji, wszyscy odpowiedzialni za nią nienawistni handlarze niewolników, wszyscy, których dosięgnąć musi w przyszłości gniew rewolucji.

Wyrzuć więc precz, towarzyszu, wszystkich tych mataczy, wszystkich fabrykantów krętactw, wszystkich szarlatanów — mistyfikatorów, wszystkich szermierzy bzdurą. Nie próbuj zbadać, czy osobiście panowie ci mają dobrą czy złą wolę, czy osobiste ich pobudki są złe czy szlachetne, czy osobiście, to znaczy w swym sumieniu jakiegoś Piotra czy Pawła, są czy nie są zwolennikami kolonizacji. Pamiętaj — zasadnicza sprawa polega na tym, że ta ich mocno wątpliwa subiektywna dobra wola nie pozostaje w żadnym stosunku do obiektywnego zła społeczeństwa jakie wyrządzają spełniając rolę psów łańcuchowych kolonializmu.

Aime Cesaire

*) Aime Cezaire, Murzyn, urodzony w Antylach, a wychowany we Francji, uczeń słynnej Ecole Nomale, poseł do parlamentu, poeta i pisarz.

Foto CAF

WOJCIECH DRYGAS

Ob. Antosik

AKURAT miał przyjechać do PZGS-u jakiś zapowiadany od szeregu dni dziennikarz, więc ob. Antosik, pełniący tutaj odpowiedzialną funkcję kierownika działu zaopatrzenia, umocowywał w wielkim pośpiechu nad swym biurkiem pięknie wykonany wykres — dzieło jednej nocy podreferenta Stasiaka i maszynistki Mazikowej. Na wykresie tym uwidoczniono wszystko, czego potrzeba było ob. Antosikowi dla rozszerzenia w świecie swej sławy.

Cyfry, napompowane tłustym tuszem, które odmierzały plan czwartego kwartału, brały się wesoło pod boki i jakby mówiły: „Patrzajcie-no ludziska, jak ten wspaniały Antosik wyszlafirował nas na przodownice! Wyskoczyłyśmy ponad plan!" I rzeczywiście! W obrocie detalicznym krzywa realizacji, jak akrobatka na trapezie, wspięła się aż do 109%, w obrocie hurtowym wystrzeliła w niebo o 25% wyżej, aniżeli sięgały tam kiedykolwiek przewidywania kierownika zaopatrzenia.

Jednym słowem wesołe cyfry napawały dumą. Pod takim wykresem można było przykleić się spokojnie do biurka, wyciągnąć nogi i w stanie łaski uświęcającej oczekiwać wspaniałego artykułu prasowego, premii, lub co lepsze, awansu i pochwał co najmniej ze szczebla wojewódzkiego.

Ale życie płata niekiedy wielkim ludziom figle. Zapowiadany przyjazd dziennikarza do PZGS-u ubiegła całkiem niespodziewana wizyta członków komitetu sklepowego z Borowiska, którzy wtargnęli bez ceregieli w zacisze gabinetu ob. Antosika. Jakież były powody ich podenerwowania? Chodziło doprawdy o głupstwo. Sklep, który reprezentowali, otrzymał kilkanaście kombinezonów roboczych, takich właśnie, jakie wkłada chłop, wychodząc z maszyną w pole. I nie byłoby w tym fakcie żadnych osobliwości, gdyby nie jeden szkopuł: bluzy dostarczono — o spodniach zapomniano.

— Gdzie są spodnie? — zapytywał rozżalony komitet. — Kto paraduje w naszych spodniach? — zaglądali ukradkiem pod biurko, sprawdzając, czy aby ob. Antosik nie ubrał się w takowe na codzień.

Podejrzenia okazały się zupełnie nieuzasadnione. Kierownik zaopatrzenia nosił od góry do dołu popielaty samodział z zielonym szlaczkiem. O spodniach nic pewnego nie wiedział, wydawał się być poważnie zaskoczony, ba, nawet wstrząśnięty do szpiku kości. Przecież cyfry mówią wyraźnie: plan detaliczny i hurtowy wykonany z hakiem! Skąd więc te dziwne pretensje ludzi z terenu? Rzucił niedwuznacznie kilka gorzkich uwag pod adresem złych komitetów sklepowych, które dopuszczają do kumoterstwa, a potem płaczą i rozdzierają szaty.

— Nie mówię, że tak jest właśnie u was — zastrzegał się dyplomatycznie, widząc poruszenie wśród chłopów. — Lecz większość komitetów — szkoda gadać! — machnął lekceważąco dłonią. — A ja, widzicie, chociaż mam was wszystkich na swej głowie, to proszę... zrobił wymowny gest w stronę wykresu nad biurkiem. — Każda rzecz w terminie i z nadwyżką. Bo ja, proszę was, jestem z żelaza, tyle we mnie samozaparcia w pracy. Właśnie ma tu przyjechać pewien dziennikarz, który opisze mnie w gazecie... I co wy na to?

Zanim chłopi zdołali otworzyć usta, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Zamiast zapowiadanego od szeregu dni dziennikarza — do gabinetu kierownika zaopatrzenia wkroczyła delegacja chłopów z Głuszy, a za nią komitet sklepowy z Anielina. Głusza zajęła miejsce pod piecem, Anielin rozsiadł się na krzesłach pod wieszakami. Czekali swojej kolejki.

— Czego tam? — rzucił oziębłe ob. Antosik.

Od pieca zaczęto rozwodzić się basem nad chronicznym brakiem papieru i zeszytów szkolnych, które miały nadejść do sklepu gromadzkiego w czwartym kwartale, lecz nie nadeszły. Natomiast spod wieszaków dopytywano się piskliwym, kobiecym głosem o przyobiecany w czwartym kwartale asortyment wyrobów żeliwnych i metalowych.

Kierownik zaopatrzenia wciąż jeszcze panował nad swymi — jak mówił — roztrzęsionymi nerwami, był przecież „człowiekiem z żelaza". Uśmiechał się nawet uprzejmie, bez cienia szyderstwa, nawet dobrodusznie, patrząc na chłopów, jak gdyby oczekiwał, że mu zawtórują. I istotnie usta interesantów wykrzywił jakiś grymas, co to nie wyglądał na piacz, a już zupełnie nie był śmiechem.

— Wykonaliśmy plan, czy nie? — indagował uprzejmie ob. Antosik.

— Ano, wykonaliśmy... — kiwali głowami chłopi.

— Przekroczyliśmy plan, czy nie?

— Jużci, przekroczyliśmy...

— Więc czego jeszcze chcecie?

— Spodni — odpowiedział chóralnie komitet z Borowiska.

— Przyobiecanego papieru i zeszytów — prosiła delegacja z Głuszy.

— Tych wyrobów żeliwnych, co to są w planie — denerwowali się chłopi z Anielina.

Kierownik zaopatrzenia spurpurował na twarzy i ze słowami: „Czekajcie-no, już my was sprawdzimy w terenie" — ryknął w słuchawkę telefonu:

— Inspektorzy do mnie!

W kilka dni później mieszkańcy w Borowisku przeżywali nie byle jakie emocje. Do gromady zaczęli zjeżdżać całymi grupami inspektorzy. Przyjeżdżali, badali, stwierdzali, na coś się mocno gniewali, potem w swych strasznych protokółach długo zapisywali, delegacje stemplowali i... odjeżdżali. A spodni, jak nie było — tak nie było.

W Głuszy znowu obrali inną taktykę. Przyjeżdżali pojedyńczo. Jeden badał sprawę od strony sklepu, drugi zapuszczał się nawet za opłotki gospodarstw chłopskich, trzeci nic nie badał tylko groził, za to czwarty dużo badał i milczał. A potem przyjechał piąty, ale był bardzo dobry i tylko kiwał głową, za to szósty spłakał się nad własnym protokółem, bo był człekiem sercowym, a nie potrafił wykryć nic podejrzanego w działalności komitetu sklepowego. A papieru i zeszytów, jak nie było — tak nie było.

Najgorzej jednak wypadł Anielin. Do wioski zjeżdżali inspektorzy zespołowo i indywidualnie. Przyjeżdżali od strony młyna, ziewali, herbatę pili, trochę straszyli, delegacje stemplowali i... odjeżdżali znowu w stronę młyna. Ale tylko tak na niby. Bo za chwilę wpadali do wioski od strony lasu i z okrzykiem: „Teraz was wreszcie mamy" — zabierali się od nowa do badania, stwierdzania, odnotowywania, grzebania w papierach. Wreszcie pot z czoła ścierali, delegacje stemplowali i, zniechęceni... odjeżdżali. A wyrobów żeliwnych i metalowych jak, nie było — tak nie było.

I prawdopodobnie cała sprawa ze spodniami, papierem i żelazem zasuszyłaby się na pamiątkę w przepastnych czeluściach biurka ob. Antosika, gdyby nie trzy pisma, które kolejno doręczyła poczta władzom PZGS-u.

Centrala Odzieżowa zapytywała grzecznie, dlaczego kierownik zaopatrzenia nie był uprzejmy odebrać z magazynu przygotowanych tam 1.000 par spodni roboczych, zadowalając się tylko samymi bluzami. Dyrekcja drugiej centrali przypominała z troską w każdym zdaniu, że 4 tony (słownie cztery!) papieru i zeszytów szkolnych czeka bezskutecznie na konsumentów wiejskich. Czyż byście nie mieli żadnych potrzeb? — dziwiono się. Jeśli tak, towar przekażemy chłopom innego powiatu!

Po ojcowsku łajała ob. Antosika trzecia z kolei centrala zbytu, za karygodne (wyraz ten, o zgrozo! podkreślono czerwonym atramentem) — za karygodne zaniedbanie odbioru, w czwartym kwartale, przeszło 3 ton wyrobów żeliwnych i metalowych.

W pierwszym momencie ob. Antosik znieruchomiał za swym biurkiem, potem zwołał do bazy wszystkich inspektorów z terenu i w końcu, zdjął ze ściany wykres, pięknie wymalowany kolorowymi ołówkami przez podreferenta Stasiaka i maszynistkę Mazikową.

Postanowił już nie oczekiwać premii, awansu i pochwał ze szczebla wojewódzkiego. Na tę wspaniałą myśl wpadł, niestety, dopiero po przeczytaniu pewnego artykułu, w którym zapowiadany w PZGS-sie od szeregu dni dziennikarz, opisał solidnie sprawę 1.000 par spodni, 4 ton papieru i 3 ton żelaza. Był on bowiem w GS-ach w Borowisku, Głuszy i Anielinie, a potem w centralach, papieru, żelaza i odzieży. Dlatego, dlatego... ob. Antosik nie doczekał się dziennikarza, natomiast straszliwego artykułu w gazecie.

Wojciech Drygas

TADEUSZ PAPIER

Notatki z teren

OSTATNIA PODRÓŻ

JUŻ był w ogródku, już witał się z gąską..." Nie chcę przez to powiedzieć, że i naszego bohatera, występującego pod pseudonimem „Pan" (tak go przezwano w popołudniowym pociągu robotniczym zdążającym z Łodzi w stronę Koluszek) spotkał ten sam los, co owego lisa w cytowanej bajce. Do pociągu wskoczył prawie w ostatniej minucie. Po energii z jaką torował sobie drogę do środka można było sobie wyobrazić, jak spieszył się przez ulice miasta, aby zdążyć na czas. Może nawet przyjechał taksówką.

Mimo protestów podróżnych, a szczególnie kobiet, przepchał się do środka, przeprosił kogoś uprzejmie i postawił na jego pakunku swoją walizkę. „Jeszcze nie ciężka" — zapewniał, kładąc przy tym dwuznaczny akcent na słowo „jeszcze". Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Wagon był długi, poprzedzielany niewysokimi oparciami. Przez środek biegł wąski korytarzyk, również zapchany ludźmi. Siedziały kobiety wiejskie z tobołkami, powracające z wyprawy handlowej do miasta, uczniowie szkół zawodowych, kilku, jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać, urzędników, robotnicy fabryczni i kolejowi. Nasz bohater pokręcił się chwilę w miejscu i nie wiadomo kiedy wcisnął się pomiędzy siedzących na ławce. Siadł jakoś bokiem, potem wykręcił się w drugą stronę i już siedział wygodnie, dogadując, że szpilka się nie wciśnie, ale on się wciśnie. Był to wątpliwy dowcip, ale kilka kobiet roześmiało się wesoło, porównując jego okrągłą postać do szpilki. „Pan" się uśmiechnął, wytarł kraciastą chustką spocone czoło, zatrzymał dłużej ciepłe spojrzenie okrągłych piwnych oczu na młodej studentce o delikatnej, jakby zmęczonej trochę twarzy i długich warkoczach. Dziewczyna stała obok wysokiego robotnika, oparła się o występ okna i czytała książkę. „Pan" rzucił półgłosem w jej kierunku: „Ciekawe, co?" Dziewczyna nie odpowiedziała. „Pan" rozpiął płaszcz, odkrywając ciepłe futerko, poprawił się na ławce i zamierzał znów zaatakować dziewczynę, kiedy przerwał mu ochrypły, przeciągły, jakby śpiewający głos z peronu: „Gazety warszawskie, łódzkie, tygodniki. Wielka katastrofa samolotowa w USA. 60 osób zabitych, wielka katastrofa..." „Pan" rzekł dość głośno: „Wierzę!" Skrzywił się przy tym, jakby cytrynę jadł. Dziewczyna spojrzała na niego z pewnym zainteresowaniem, wyglądało, jakby podziwiała jakiś ciekawy okaz, potem znowu pochyliła się nad książką. Pociąg nagle drgnął, kłęby pary otuliły okna od zewnątrz, stacja wraz z niestrudzonym sprzedawcą gazet pozostała w tyle.

Wagon zaczął się rytmicznie kołysać. „Pan" poprawił się nagle na ławce i jakiś starszy robotnik siedzący na brzegu, zsunął się na swój pakunek i popchnął niechcący swojego młodszego kolegę, który drzemał na podłodze. Ten odgarnął długie, spadające na czoło włosy i pochylił głowę na kolana. „Pan" odwrócił się w kierunku drzemiącego i obserwując kątem oka wciąż czytającą dziewczynę, wymówił umyślnie przyciszonym głosem: „Przyjemnych marzeń". Ale nie wywołało to zamierzonego efektu. Tylko ów robotnik stojący przy oknie obok dziewczyny zdawał się usprawiedliwiać śpiącego:

— Skutki zabawy. Wczoraj do późnej nocy tańczył, a rano do fabryki...

„Panu" oczy zabłysły.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — mlasnął językiem i strzelił okiem w stronę dziewczyny — ładna zabawka, hę?

— Jak dla kogo? — odpowiedział natychmiast basem robotnik, którego zepchnięto z ławki.

„Pan" miał ograniczone pole widzenia. Przed nim stała opatulona w grube chusty kobieta, która ponadto trzymała w ręku parę koszyków. Kobieta nieznacznie przechylała się w stronę okna, zasłaniając częściowo dziewczynę. „Pan" już od paru minut usiłował kolanami odepchnąć „babę" na bok, ale mu się to nie udawało.

— Możebyście usiedli gdzie, mamusiu — przemówił głośno, usiłując dowcipem przykryć narastającą złość.

— Patrzcie, przyszedł na końcu, a siedzi i człowiekowi każe się usunąć. Jak niewygoda, to proszę do pierwszej klasy. Znają takich! Kobieta była zła o miejsce, którego nie zajęła wcześniej.

„Pan" otarł pot z czoła i nie przyjął wyzwania. Po chwili jednak, jakby nie pamiętając o starciu, zapytał cicho:

— Daleko pani?

Kobieta spojrzała na niego z góry i usunęła się nieco na bok.

— Ej, tam! — wskazała ręką na koszyki.

„Pan" skłonił domyślnie głowę.

— Ciężko idzie?

Kobieta mruknęła coś w odpowiedzi. Poprawiła chustkę na głowie i odwróciła się bokiem.

„Pan" miał znowu widok na okno i dziewczynę z książką. Za oknami wagonu szarzało, do wnętrza pruszył mrok i dziewczyna schowała książkę do teczki. „Pan" pragnął w jakiś sposób zwrócić jej uwagę na siebie. Zaczął znowu:

— Najlepiej temu — wskazał na chrapiącego robotnika.

— Pewnie! — poparła go nieoczekiwanie właścicielka koszyków.

— Gdzie była ta zabawa? — zainteresował się „Pan".

— U nas, we wsi. ZMP urządziło. Taki wynik, że człowiek niezdolny dziś do pracy — robotnik siedzący na swoim pakunku, odpowiadał wolno, jakby z niechęcią.

— To ZMP winno temu? — rzuciła zaczepnie od okna dziewczyna. Głos miała dźwięczny, czysty. Zwróciła uwagę wszystkich na siebie.

„Pan" mruknął „acha!", jakby odgadł już dziewczynę do głębi. Z miejsca ją sklasyfikował. Poprzednie zainteresowanie zaczęło się przeradzać w chęć ośmieszenia jej.

Dziewczyna powtórzyła:

— Na pewno nie ZMP.

— Możliwe — zgodził się bas. — Nie mówię, że ZMP, ale że na zabawie ZMP

Rys. St. Gierowski

— Czy to nie wszystko jedno? — zauważył jakoś ciepło, przekonywająco „Pan".

— Nie wszystko jedno — odparła sucho dziewczyna.

Kobieta z koszykami spojrzała przyjaźnie na „Pana". Dogadała:

— Oni już potrafią urządzać zabawy!

— Ech, matusiu, lepiej byście pilnowali swoich koszyków. Nie kładźcie ich, do diabła, na mojej głowie — zdenerwował się nagle bas.

— Co do tej zabawy, to rzeczywiście nieprawda — wypowiedział się młody robotnik, stojący obok dziewczyny. Miał na głowie zniszczony kapelusz, wytartą kurtkę. W ręku trzymał starą, skurzaną teczkę. — Rzeczywiście, to myśmy ją urządzili, jak powiada towarzysz Kaleba, ale awanturze winien jest kto inny.

— Więc awantura! — stwierdził prawie radośnie „Pan".

— No pewnie, z przekonaniem poparła go właścicielka koszyków. Oparła teraz swój bagaż na kolanach „Pana".

— Nie młodzież ją urządziła! — krzyknął robotnik.

— Daj spokój, Michał! — uspokajał go basem, stary Kaleba.

— Co za spokój! Przyczepił się jak rzep i nie przestaje mleć jęzorem — robotnik przezwany Michałem spojrzał ostro na „Pana".

— Czy ja zacząłem — „Pan" wzruszył lekceważąco ramionami. — Sami się chwalicie!

— Nie ma tu żadnej chwalby — szybko wtrącił się Kaleba, jakby obawiając się, że Michał odpowie w inny sposób. — Po prostu zawalił kierownik GS-u!

— Ręka rękę myje — zaśmiała się urywanie właścicielka koszyków.

— A noga nogę wspiera — dodał z wyraźną złośliwością „Pan". Rozparł się jeszcze wygodniej i spoglądał pewnie na otoczenie. Otworzył z trzaskiem srebrną papierośnicę i puścił kłąb dymu w kierunku okna. Zaśmiał się do właścicielki koszyków: — Jasne! Jasne!

Ale Kaleba nie podjął polemiki. Uznał, że musi wyjaśnić sprawę.

— ZMP urządziło zabawę, dochód przeznaczyło na świetlicę. Na świetlicę, Michał, co? Prosiliśmy kierownika GS o bufet. No, w komis oczywiście! Początkowo kierownik nam odmówił. Trzasnął w wymowny sposób palcami, jakby liczył pieniądze. — Ale potem zgodził się. Bufet nam przysłano, lecz nie to, o co prosiliśmy. Dał wódkę, a my o nią nie prosili.

— Dlaczego? — wtrącił z niewinną miną „Pan". Jego czerwona twarz promieniała zadowoleniem.

Kaleba nie odpowiedział na pytanie. Ciągnął dalej historię. Jego bas dudnił jakby spod ziemi.

— No i wódki nie daliśmy. Ale się wydało, że jest. Niektórzy poszli wtedy do kierownika i tam popili. Przyszli, awanturowali się, zatrzymywali muzykę dla siebie. Trzeba było się z nimi mordować.

„Pan" zaczął zdradzać nieukrywane zainteresowanie opowieścią. Przechylił się zupełnie w stronę opowiadającego. Spojrzał nagle na właścicielkę koszyków. Zapytał cicho:

— Pani dokąd?

Odpowiedziała mu podobnym szeptem.

— Na ile tam masło? — spytał rzeczowo.

— A pan dokąd?

— Mam swojego — odparł dwuznacznie.

Kobieta mruknęła „uhm". Nie była zadowolona z odpowiedzi.

— Myszkę zna pani? Myszkę Jana — nachylił się ku niej.

— Myszka? — zawołał nagle Michał. — Pan jedzie do Myszki?

— A bo co?

— No przecież on powinien już siedzieć! — zawołał Michał.

— Już siedzi! — poprawił go Kaleba. — Na pewno tam dzisiaj urzęduje milicja. — Wstał, wyprostował swoją ciężką postać, zbierał z półek swoje pakuneczki. Obudził śpiącego kolegę. Inni robotnicy też poczęli szykować się do wyjścia.

„Pan" siedział na ławce, jak skamieniały.

— Jak to zamknęli?

— A cóż pan myśli, że spekulant jest nietykalny? — zawołała studentka.

— Przebrała się miarka — zaśmiał się Kaleba.

— To my właśnie z ZMP zebraliśmy o nim informacje. Myszka nie był sam. Współpracował z jakimś draniem. A pan właściwie po co do Myszki? — zapytał nagle Michał.

„Pan" nie mógł wymówić ani słowa. Gardło miał zupełnie suche.

— Pomyłka — wycharczał. — Ja nie do tego Myszki...

Pociąg stanął na stacji. Robotnicy wysiedli. W przedziale zrobiło się luźniej. Właścicielka koszyków mogła wreszcie spocząć na ławce. Studentka z widocznym gniewem spoglądała na przybitego „Pana", który zdecydował się w ostatniej chwili jechać dalej. Inni podróżni wychylali ze swoich przedziałów ciekawe twarze. Pociąg ruszył dalej i dziewczyna widziała jak drogą do wsi, ledwo rysującej się w coraz gęstniejącym mroku, szli robotnicy z fabryk. Wieś wkrótce zniknęła jej z oczu.

* * *

Jeżeli spotkacie kiedy „Pana" — złodzieja przechwytującego w swoje chciwe ręce dochód narodowy i okradającego chłopów i robotników, rozprawcie się z takim typem raz na zawsze. Nie sugerujcie się przy tym obrazem, który nakreśliłem w powyższym szkicu na podstawie podsłuchanej rozmowy w pociągu. Tego „Pana" już nie spotkacie. Nie uratowało go przedłużenie podróży pociągiem. Od kilku tygodni odsiaduje karę razem ze swym wspólnikiem Janem Myszką. Ale są jeszcze inni wrogowie, z którymi należy walczyć jak zetempowcy w jednej ze wsi podłódzkich. Ostro i zdecydowanie.

A swoją drogą wieś tamta jest ciekawa i spróbuję odszukać tam Kalebę i Michała.

Tadeusz Papier

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Z prasy radzieckiej

Krytyka i prasa pomagają pisarzom

Siła oddziaływania literatury radzieckiej polega m. in. na tym, że rośnie ona równomiernie wraz z życiem na rozległych obszarach pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Rośnie i rozwija się zarówno w centrum Związku, w Moskwie i Leningradzie, jak i na dalekich pograniczach kraju. W Moskwie i Leningradzie wychodzą czołowe pisma i miesięczniki: „Gazeta Literacka", „Nowy Świat", „Październik", „Sztandar", „Gwiazda" — ale literackie czasopisma pojawiają się i w Taszkiencie i w dalekim Władywostoku i na Syberii. Niedawno miesięcznik „Ognie Syberyjskie" obchodził trzydziestolecie swego istnienia. Zasłużone to pismo wychowało w tym okresie czasu szereg znakomitych dziś pisarzy.

W ten sposób równomierne nasycenie prasą literacką olbrzymich obszarów Związku, stwarza i trybunę dla miejscowych wypowiedzi i bogatą sieć kanałów, którymi do literatury radzieckiej, napływają świeże obserwacje i nowe talenty.

Radziecka koncepcja życia literackiego przekreśliła burżuazyjny podział na „stolicę" i „prowincję", obaliła kapitalistyczne chwyty, przy pomocy których lansuje się co roku „modne" nowości i reklamuje „olśniewające gwiazdy" pisarskie. Nie ma „gwiazd" i „szarego tła". Gruntuje się mocne przekonanie, że pisarz nigdy nie stanie się „gwiazdą", jeśli nie wyrośnie z samego życia, jeśli nie wyjdzie od doświadczeń dołowych mas i nie przyniesie ze sobą utworu typowego, właściwego dla życia mas ludowych w danym okręgu. Przed pisarzem stoi zadanie wyrażenia życia lokalnego, odnalezienia w lokalnym zjawisku ogólnego i typowego — przy jednoczesnym zachowaniu bogactwa miejscowego kolorytu.

Wyłania się nowy problem: drogi pisarza „od dołu", wchodzenia do literatury wraz z nowym, bogatym, napływającym z najdalszych kresów życiem. Kim jest taki pisarz, czy potencjalny pisarz w pierwszej fazie? Czynnym człowiekiem radzieckim, wykonującym zadania Partii, organizującym życie, aby było ono lepsze, piękniejsze. Wysoka świadomość polityczna, kierująca pracą, stylem myślenia i obcowania z ludźmi, wreszcie żywa aktywizacja, czynny udział w każdej sprawie ważnej dla rejonu — wysuwają jednostkę niejako na czoło, czynią ją żywszą, ciekawszą, bogatszą w przeżycia. Napór doznań, nabyte doświadczenia i socjalistyczne pragnienie podzielenia się wiedzą o życiu z ludźmi, wciskają człowiekowi pióro do ręki. I tutaj rodzi się „surowiec pisarza". Pierwsze prace opisują zazwyczaj własną drogę życia, dochodzenie do obecnej pozycji, trudności i zwycięstwa. Powstaje próba odtworzenia, utrwalenia żywego bohatera. Rękopis wędruje do redakcji. Z powodzi nadsyłanych materiałów, redakcja wybiera najlepsze, najbardziej typowe i charakterystyczne. I oto mamy udany debiut: „Ziemia Kuźniecka" A. Wołoszyna. Debiutant, opuściwszy macierzyste łono gazety, żyje dalej własnym pisarskim życiem, próbuje kroków samodzielnie. Dochodzi do pozycji dojrzałego, uformowanego pisarza.

Zachodzi też inny wypadek. Człowiek „bliski stania się pisarzem" nawiązuje kontakt z miejscową gazetą jako korespondent. Czasem kontakt jest krótkotrwały lub sporadyczny, ale najczęściej stały — i prowadzi do pisarstwa.

Otóż w wypadku korespondenta — przyszłego pisarza ważne jest, by był on jak najlepiej, jak najściślej powiązany ze swoim terenem. Praktyka radziecka wskazuje, że takim korespondentem jest najczęściej przodujący robotnik, lub wiejski nauczyciel. Drugi warunek: by początkujący korespondent nie pisał od razu do prasy centralnej, by nie przeskakiwał stadium pośredniego, miejscowej gazety. Lokowanie ambicji w czołowych organach często zawodzi: korespondent nie może sprostać od razu odmiennym wymaganiom pisma stołecznego, nie rozwija się w sposób właściwy na etapie pośrednim, miejscowej gazety — i odrywa się od terenu, gdyż do stołecznej prasy, nie może donieść tylu szczegółów lokalnych, co do miejscowej gazety, a nie umiejąc poprawnie uogólnić, rezygnuje ze spraw może drobnych, ale na dalszym szczeblu istotnych.

Najwłaściwszy jest kontakt początkującego korespondenta z miejscową gazetą, którą piszący wzbogacić może znajomością całego mnóstwa spraw lokalnych. Oczywiście, redakcja gazety nie pozostaje tu bierna: wychowuje ona korespondenta, kształci go, urabia. I tu stoimy wobec ogromnie doniosłego zagadnienia: roli wychowawczej pisma, które wyprowadzić może korespondenta na ubity już szlak pisarstwa. Później publikacje w miejscowym piśmie literackim włączają młodego pisarza w krąg lokalnej organizacji literackiej.

Siła literatury radzieckiej tkwi też i w umiejętnie stworzonej sieci organizacyjnej. Ważnym tu jest przekreślenie przedziału na „stolicę" i „prowincję", na „pierwsze rzędy" i galerię". Szeroka sieć Związku Pisarzy Radzieckich posiada oddziały i własne pisma literackie w najodleglejszych zakątkach kraju. Oczywiście, by pisarz z dalekich kątów nie musiał uciekać po sławę do Moskwy, powinien posiadać warunki twórczego rozwoju na miejscu. Te warunki w Związku Radzieckim są, nazywają się: miejscowa gazeta codzienna, pismo literackie, almanach, nieraz Odział Związku i wydawnictwo. W ten sposób pisarz w okręgu ałtajskim czy we Władywostoku odnajduje lokatę swego talentu i całkowitą opiekę.

To wszystko stanowi pierwszą przystań dla talentu zrodzonego w masach ludowych. To wszystko jest „uterenowieniem" literatury, szerokim powiązaniem pisarstwa z całym krajem.

Ważną rolę odgrywa w miejscowym życiu literackim, a przede wszystkim w gazetach lokalnych krytyka. Ona to stanowi rodzaj busoli, kierującej rozwojem talentów, wpływa wydatnie na politykę pisma.

„Krytyka lokalna — pisze „Litieraturnaja Gazieta" w nr 4 — wypowiada opinię społeczeństwa miasta i okręgu, w którym wydawana jest gazeta. Ta krytyka jest uzbrojona w dobrą wiedzę o warunkach życia, które znajdują swoje odbicie w miejscowych książkach. Troska o rozwój krytyki literackiej w prasie lokalnej — to troska o różnorodność i bogactwo naszej literatury. Stąd zrozumiałym się staje, jak ważną rolę mają do spełnienia gazety lokalne na oddcinku rozwoju krytyki literackiej.

Słuszne postawienie zagadnienia krytyki literackiej w miejscowej prasie stanowi ważny i czynny środek oddziaływania na pisarzy, szczególnie młodych.

„Litieraturnaja Gazieta" zaleca lokalnym czasopismom roztoczenie troskliwej opieki nad pisarzami, przebywającymi w danym rejonie. Pisarz musi odnaleźć w takiej gazecie i publikację własnych utworów i pomoc w postaci słusznej krytyki. Dobrze pracuje taka redakcja, która wychowuje sobie kadry współpracowników, ściśle powiązanych z życiem „dołowym", która przede wszystkim wychowuje korespondentów, wnoszących do pisma cenny surowiec literacki — z niego twórcza praca redakcji wytopi rzeczywisty talent.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Kiedy zamilkli...

Czytałem sobie spokojniutko w pociągu nowy numer „Wsi", a tu nagle wytrąca mnie z lektury głos sąsiada.

— U nas we wsi jest pianino.

— A to bardzo dobrze — odparłem grzecznie.

— Wcale nie dobrze, bo stoi w Komitecie Gminnym PZPR-u.

— A gdzieby Pan chciał, żeby stało?

— No jasne, że nie tam, gdzie odchodzi poważna polityka, gdzie narady wytwórcze, odprawy, młodzieży potrzebne pianino.

— A jest w waszej wsi koło ZMP?

— Jest jest, siedzą niebożątka w świetlicy i tylko gadają.

— A może nie interesuje ich muzyka?

— Skąd znowu, wprost przeciwnie. Chłopcy i dziewczęta chcą się uczyć piosenek i spędzać miłe wieczory rozrywkowe.

— Ale do tego potrzebny pianista...

— Pianista... ja nim jestem. Mówię panu, mam dobry głos, umiem biegle grać na fortepianie i w dodatku lubię muzykę.

— To czemuż pan nie stara się o przeniesienie pianina?

— Staram się, postanowiłem się starać. U mnie w domu mam nawet taką dużą salę, po której jak popłynie muzyka to dziewczęta i chłopcy, ucha, cha, pan mnie rozumie?...

— To z Komitetu Gminnego nie do świetlicy, ale do własnego mieszkania chcesz pan wtaszczyć pianino, tak?

Popatrzył na mnie długo i nic już nie powiedział. Odezwał się natomiast inny pasażer.

— Ma się wiedzieć, że to nie idzie cudze brać do siebie. Ja, jakżem wstępował do spółdzielni produkcyjnej, wniosłem aże 4 konie.

— Ho, ho, toście dużo mieli na swoim.

— Toteż mi zaraz dali odpłatę za trzy konie, a czwarty stanowi wkład zwrotny.

Rozmowa jużby się urwała, ale chłop coś sobie przypomniał, bo znów podjął.

— Acha, nie wiesz pan czasem, u kogo mają być dokumenty końskie, czy w zarządzie spółdzielni czy u właściciela konia, znaczy się u mnie? Bo ja mam tylko pokwitowanie.

— A co to myślicie wyjść ze spółdzielni?

— Eee, tak się rzekło...

Arkadiusz Piła

Stary honor

Na jednym z kursów dla działaczy gminnych Agnieszka Wojtasz, znana czytelnikom Gazetki, otrzymała takie pytanie:

— W powiecie Kwidzyń, w woj. gdańskim ubiega się pewien chłop 60-letni o zrzeczenie z gospodarstwa (8 ha). Chce się wraz z żoną przenieść na gospodarstwo syna w tymże samym powiecie. Co widzicie w tym przypadku, ob. Wojtasz? Pomyślcie i gadajcie po waszym uważaniu.

Nasza Agnieszka długo się nie zastanawiała.

— Po pierwsze, okazuje się, wedle tego, co stary wymiarkował, że na gospodarce u syna wcale dobrze

będzie się im wszystkim wiodło bez drugiego gospodarstwa i że syn tego samego jest zdania, kiedy rodziców chce przyjąć...

— A po drugie?

— A po drugie... tu jest sedno rzeczy. Przed pięciu laty, to stary i rodzina inaczej myśleli. Wtedy każde chciało chłapnąć kawał ziemi. Ojciec dla siebie gospodarkę, syn dla siebie, córkę pewnie też wydali za pioniera, co potrzebował baby do 10 hektarów. I tak cała familia honor podniosła „jak policzyć, to ze 30 hektarów będzie w naszej rodzinie".

Ale latka lecą i takie „honory" coraz niższą mają cenę. Połapał się stary, że na dudka wyszedł. Syn na swoim, córka na swoim, dobrze się mają, a on z żoną na „nadliczbowej ziemi". Nie ma już w rodzinie komu jej przekazać, samym na starość też ciężko tyrać na całym gospodarstwie. I stary zapragnął wydobyć się z pułapki, do jakiej wpędziła go przed laty stara chytrość chłopska, że co ziemia, to ziemia. Ale wtedy utarł nosa niejednemu biedakowi, co gdy posłyszał, że tu i tam, wszędzie już zajęte, to i nie pojechał na zachód.

P.S. Agnieszka Wojtasz powiada, że warto na ten temat szerzej podyskutować. Prosimy więc czytelników o nowe przykłady i omówienia.

Wacław Nagniotek

Powołanie do pracy produkcyjnej

Ma 21 lat, jest sierotą. Dalsi krewni pomogli jej ukończyć niższe gimnazjum w rodzinnym miasteczku. Liceum było ogólnokształcące. Dziewczyna rozumiała potrzebę jak najszybszego usamodzielnienia się. Pojechała więc do pobliskiego miasta, gdzie było liceum spółdzielcze, skończyła je, a potem zahaczyła o Wrocław. U przyjaciółki mogła mieszkać a w wielkim mieście znaleźć pracę.

Otrzymała pracę kontystki, co jej jednak zadowolenia nie dawało. Los sprzyjał, instytucja reorganizowała się, zredukowano ją, wskazując inne miejsce pracy. Tu jest na pół urzędniczką, na pół maszynistką. Upłynęło od tego czasu 7 miesięcy. Jak Wam się zdaje Czytelnicy — cóż teraz powie dziewczyna? O czym teraz myśli?

— Znów pewnie niezadowolona?

Znów! Ale nie malkontenckie to niezadowolenie. Dziewczyna pracuje pilnie, jest w pracy wesoła, cieszy się uznaniem, w kole ZMP działa aktywnie, jest członkiem zarządu. Kiedy jednak wraca do domu, czuje się zrezygnowana, nic ją nie cieszy. „A przecież nam, budującym socjalizm, nie takich ludzi potrzeba".

Wejrzyjmy w konflikt, z jakim szamocze się dziewczyna. Ma wykształcenie licealne, zatem lokujące w pracy „umysłowej", za biurkiem. Spółdzielcze, tzn. praktycznie biorąc, buchalteryjne. Otóż ta perspektywa nie odpowiada skłonnościom dziewczyny. Pociąga ją p r o d u k c j a. „Chciałabym być przodownicą pracy, każdego dnia widzieć swą pracę, jej osiągnięcia, jej materialną, namacalną wielkość — to dałoby mi szczęście i radość".

„Jestem gotowa jechać dokądkolwiek, na drugi kraniec Polski,

aby dopiąć celu. Nic mnie przecież tu we Wrocławiu nie trzyma, jestem sama i samotna. Chcę obsługiwać maszyny czy urządzenia techniczne".

Ten list mówi o wielu na raz sprawach. Mówi po pierwsze, o wielkiej możliwości, jaką otwiera socjalizm. Człowiek ma prawo pracować tam, dokąd pociągają go uzdolnienia i zamiłowania. Praca jest honorem człowieka, powinna mu więc dawać radość.

Po drugie, list ten mówi o zamiłowaniu do pracy produkcyjnej, o wielkim, odżywającym w socjaliźmie, jej uroku. Praca w produkcji nie staje przed ludźmi prostymi, bez wyższego wykształcenia, jako konieczność. Staje dziś, jako powołanie, które w nas kiełkuje i długo nieraz przebija się, jak to widać na przykładzie naszej kontystki. Ale kiedy wyrośnie i w pełni się uświadomi, wówczas woła donośnie: „jestem gotowa jechać na drugi kraniec Polski, aby dopiąć celu". Dopnijcie swego, kol. Makosik!

Jan Kurzołęka

„Żona modna"

Z okolic Koziegłowów nadesłał nam pewien chłop lament w i e r s z o w a n y na swoją żonę. „Wiersz" przetrzymajmy a lament przeczytajmy.

„Wsi" uczona — powiedz, co warta /jest żona
ciągle z czegoś niezadowolona?
Podczas, gdy ja pracuję, ona w do- /mu siedzi.
Przychodzę, to gdera, płacze i bie- /dzi.
Niczego nie zrobi, po nic nie wy- /leci.
— Bywa i tak często, że z pola przy- /chodzę,
żona leży „chora", ja się dalej gło- /dzę...
Wreszcie i dzieci chore, jam jest /tylko zdrowy;
tu robię i tu robię nie mogąc zrobić /połowy.
Pieniądze zarobione na lekarstwa /wydaję
zawsze jednak wesół jestem, lub... /udaję.
Kapotę tę na codzień, ciągle sam /ceruję
I podłogę wyszoruję i jeść ugotuję
dzieciom pieluszki zmienię — szcze- /rze ucałuję.
Nigdy bez prośby nie wyjdę z miesz- /kania.
— Cóż więc jest powodem gderania?

Powtórzmy za autorem — Cóż więc jest powodem gderania? Nasz autor ma „żonę modną". A „żona modna" to proszę was — średniaczka, co wzięła chłopa bez zagona. Ciekawe to zjawisko. Oto młoda dziewczyna znalazła się, jak to mówią, między młotem a kowadłem. Młot — to narzeczony. Kapral, w wojsku od półtora roku, jeszcze tylko osiem miesięcy. Kiedy wróci... będzie to nie byle kto na wsi, a u swojego ojca również ma gospodarstwo. Same więc plusy? Nie, same minusy. Bo jest i kowadło. Dziewczyna ma ojca i matkę, a do obrobienia 10 ha. Ziemia nie czeka. Mocno musiała się włożyć, bo to teraz „produkcja według planu". I co wykombinowała? Rodzice starzy, a „narzeczony" pewnie będzie chciał jeszcze podgonić produkcję, czyli że kowadło nie ulegnie zmianie. Zmieniła tedy młot. Ciotki i sąsiedzi naraili chłopca bez ziemi, ale w sam raz do roboty na 10 ha. Ty będziesz „panią" a on... do wszystkiego. Łamią się tradycje? Łamią, ale ten kierunek nie prowadzi w przód. Choć... nie wiadomo jeszcze, czy ten drugi „narzeczony" będzie pisał wierszowany lament.

Bo, gdy stare przełamane... nie każdy biedniak padnie teraz do nóżek.

Henryk Kupisz

Nie tędy i nie owędy

Jak to było ze mną? Na Ziemie Odzyskane przybyłem w r. 1948. Bardziej myślałem o jakiej pracy, niż o roli, choć na gospodarstwie się znam, bo od ojca (z czterech hektarów) wyruszyłem szukać szczęścia. Młody byłem i pierwsze co mi się wydarzyło, to żeniaczka. Żeby więc zawiązać rodzinne gniazdko wziąłem gospodarstwo rolne (8 ha). Z zabudowaniami było już gorzej, wszedłem więc z inwentarzem do stodoły, stajni i chlewa mojego szwagra.

Póki nasz przychówek był mały, mieściliśmy się jakoś razem. Ale myśląc naprzód a czytając w prasie i słysząc na szkoleniach o doborze kadr chłopskich na różne stanowiska, umyśliłem sobie wysunąć się pomału z gospodarki. Zgłosiłem się do GRN-u do pracy, przyjęto mnie na próbę, potem zostałem referentem. Przekonałem się, że chłop od pługa z biegiem czasu potrafi się wybić na odpowiednie stanowisko. Ale to stanowisko zawróciło mi w głowie. Bo jużem z ziemi chciał zejść. Podanie złożyłem, motywując zrzeczenie brakiem pomieszczenia na bydło i trzodę chlewną, a przecież, aby wywiązać się należycie wobec państwa, powinienem hodować co najmniej 8 sztuk świń itd. itd. Nie powędrowało jednak to podanie do Powiatowej Rady, bo towarzysze z Partii wzięli mnie na przyjacielską rozmowę i wyłożyli jasno.

— Nie stać cię na wybudowanie obejścia przy zarobku z dwu źródeł?

— Stać.

— Nie możesz dopilnować tej sprawy?

— Mogę.

— Ciężko ci na dwóch pracach?

— Trochę ciężko.

— To rozważ, albo podołasz obu i dasz przykład innym, albo wracaj na gospodarstwo, przecież twoje, masz akt nadania.

— Ale ja mam też chęć do pracy na stanowisku.

— No to pracuj w komisjach, pracuj w gminie, jako działacz.

— E, to ja wolę, jak było, w Radzie i na gospodarstwie.

Jak więc widzicie nie tędy i nie owędy, ale prosto trzeba iść naprzód, aby wybijając się naprawdę przodować.

Józef Kozubek

JACEK WĄCHAŁA

MAŁA BALLADA O SOŁTYSIE MACIEJU

Miał sołtys Maciej szwagra kułaka
i jak krewniaka dzielnie go bronił.
„Szanowna władzo! Oszczędź biedaka,
niechaj resztkami nie goni.
Proszę was skreślcie połowę FOR-u,
ne, i gruntowy także podatek.
Ratujcie szwagra od głodu i moru,
sierotami nie róbcie dziatek!"
Więc też komisja jedna i druga
obok kułaka przechodzi chyłkiem
A kułak okiem do żony mruga
i trzęsie opasłym tyłkiem.
Lecz w dzbanie póty wodę się nosi
jak długo przy nim tkwi ucho.
Bo jak powszechna opinia głosi
nie uszła sprawa na sucho.
Poszły komisje i sołtys Maciej
z ławy sądowej za kratę,
a kułak grzecznie dług Polsce spłacił
i grzywnę na dodatek.

Zabieramy głos

Odbicie naszych pragnień i dążeń

MIEJSCOWOŚĆ Jadwinów i okoliczne gromady w których się wychowywałem, były pozbawione odpływu zbędnych ludzi ze wsi do innych zawodów i przemysłu. Słaba gleba. To co się zbierało na słabej glebie nie wystarczało na wyżywienie licznych rodzin małorolnych Adamców, Marchlewków, Baranów i Cyganów, toteż najczęściej ci ludzie byli zmuszeni szukać chleba u rodzin kułackich Kowów, Podsiadłych, Klimowiczów i innych.

Cóż w czasach sanacyjnych tym ludziom mogły dać organizacja „WICI" czy Stronnictwo Ludowe, skoro programem gospodarczym kierowali kapitaliści, a sprawami chłopów ziemianie jak Królikowscy przy poparciu kułaków Podsiadłych, Klimowiczów i Notrowskich.

Małorolni łudzili się, że znajdą drogi wyjścia w „WICI-ach", w SL, na darmo spoglądali w stronę majątków ziemiańskich położonych w Czarnolesiu, Woli Świetlikowej i innych wsiach okolicznych. Ale ziemia w tych majątkach stanowiła nienaruszalną własność posiadaczy Jazłowieckich i innych, którzy skrzętnie strzegli swego dobra, a w tym pomagali im kułacy. Ziemianie ci, przez usta swoich popleczników, walczyli z radykalnymi działaczami i obsypywali ich wyzwiskami, jako wywrotowców, komunistów itp. Pierwszym stojącym do usług jaśnie panów był Podsiadły, który przebywał we dworze Jazłowieckiego w Czarnolesiu i tam otrzymywał dyrektywy, w jaki sposób ma pilnować ludowców (Podsiadły otrzymał w późniejszym czasie gospodarstwo z ręki „jaśnie pana" Jazłowieckiego za dobrą służbę).

Biedota z mojej wsi i okolicznych często spoglądała na zamknięte bramy małego miasta przemysłowego Sianki, gdzie szczęśliwej jednostce rzadko kiedy z łaski udało się otrzymać pracę. Toteż pamiętam dokładnie kiedy do wsi przybył kolonista Niemiec, jako agent werbunkowy do pracy w rolnictwie niemieckim, chętnie się zapisało na wyjazd 30 osób dorosłej młodzieży, która nie miała co robić we wsi, a o ożenku nie było mowy, bo ludzie ci nie mieli warunków.

Zdobycie władzy ludowej przez robotników i chłopów pracujących położyło kres wyzysku biedoty.

Posiadacze ziemi w majątkach Jazłowieccy, Królikowscy i Malczewscy opuścili swoje posiadłości, ich zausznicy w osobach Podsiadłych, Notrowskich i Klimowiczów stracili władzę, wpływy i znaczenie.

A liczne rodziny Marchlewków, Adamców, Cyganów i Baranów znalazły właściwą pracę i chleb w państwie ludowym.

Zabierając głos na temat Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jako projektu, nad którym dyskutuje całe społeczeństwo, chcę podkreślić, że jest on odbiciem naszych osiągnięć i dążeń, jakimi codziennie żyjemy, jest on odpowiedzią naszym wrogom klasowym i imperialistom zagranicznym, którym stoją solą w oku osiągnięcia i zdobycze naszej klasy robotniczej i chłopów pracujących.

Czesław Wróbel
Opatów, woj. kieleckie

Syn mój będzie lekarzem

Ojciec mój, będąc ślusarzem mechanikiem, pracował za czasów austriackich w kolejnictwie, skąd został zwolniony w 1907 r. Postanowił wtedy wyjechać do Ameryki sądząc, że w ten sposób pomoże nam i sobie. Niestety, od wybuchu wojny światowej wiadomości od niego nie było. Matka zaś, jako córka kołodzieja wiejskiego, posiadającego 1 i pół ha ziemi, musiała pracować u bogaczy, chcąc mnie jedynaka wykształcić na nauczyciela, co się jej nie powiodło. Pamiętam jej troskę, łaskę rodziny i niedostatek.

Art. 61 Projektu Konstytucji mówi, że „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do nauki", że nauka jest bezpłatna i obowiązkowa. Państwo oprócz bezpłatnej nauki gwarantuje zapewnienie pomocy finansowej w postaci stypendiów, burs, internatów, domów akademickich itp.

Czy naprawdę tak jest i będzie?

Wierzę w to głęboko, gdyż Państwo Ludowe dało mojemu synowi możność kształcenia się i poza stypendium, uzyskał on ponadto miejsce w Domu Akademickim. Syn mój będzie lekarzem, a studiuje na Wydziale Medycznym we Wrocławiu.

Ludwik Szybejko
Świdnica, woj. Wrocław

Jasna przyszłość naszych dzieci

Rodzicie moi posiadali niespełna hektar ziemi, było nas w domu sześcioro, ja najmłodszy. Do szkoły chodziłem w Zabłociu, w lecie pasałem krowy u bogaczy. Uczyłem się dobrze. W ostatnim roku szkolnym, 1937, gdy na terenie naszego powiatu demonstrowali chłopi przeciw rządom sanacji, napisałem w klasie na tablicy w dniu 19 marca: „NIECH ŻYJE RZĄD ROBOTNICZO - CHŁOPSKI". Wszystkie dzieci aresztowano, wieczorem zwolniono je, lecz na drugi dzień kierownik szkoły doręczył nam wezwania na posterunek policji w Kodnie na badanie. Z tych, co tam poszli, każdy powrócił posiniaczony, mnie wyrzucono ze szkoły, zaś rodzice moi dostali grzywnę 150 zł.

Dopiero Państwo Ludowe pomogło mi i wykształciło mnie na świadomego działacza. W roku 1950 ukończyłem pięciomiesięczną Szkołę Polityczną w Pyrach, dwa razy byłem na kursach politycznych. Widzę i wiem, że jestem potrzebny Polsce Ludowej. Kiedyś, gdy się rodziłem, ojciec i matka mówili: „Po cóż to się jeszcze narodziło, i tak nam chleba nie starcza". Dzisiaj nie martwię się, co moja córka będzie robić, gdy skończy szkoły, wiem że będzie społeczeństwu potrzebna, mając zapewniony i byt i pracę. Bo zapewnia jej to nasza Polska i Jej Konstytucja w sposób wyraźny i jasny.

Andrzej Prokopiuk
Białystok

FRANCISZEK PUDŁOWSKI

Korespondenci dyskutują

Więcej należy od nas wymagać

SZANOWNY towarzyszu Skulski. Być może zdziwicie się, że zwracam się do Was w liście.

Znamy się wszak kawał czasu i nieraz już sobie pogadaliśmy, choć problemów, jakie nam się nasuwają w rozmowie nie możemy nigdy wyczerpać. Ale ten, jaki tutaj pragnę postawić, dotyczy naszej pracy korespondentów i aktywistów. Słuszną dlatego wydaje mi się publiczna dyskusja. Taką właśnie wyście inicjowali. W numerze 35 „Wsi" z dnia 2.IX.51 r. w artykule pt. „Samokrytyka korespondenta" pisaliście o tym jak rozumiecie rolę korespondenta.

Nie wiem czy pamiętacie, jak to w ubiegłym roku, będąc u Was na wsi, podziwiałem Waszą bibliotekę, biurko, portrety Mickiewicza i Słowackiego na ścianie i masę czasopism. Wyszedłem od Was olśniony. Znałem Was od dawna, wiedziałem, że byliście w Ameryce, że piszecie do wielu gazet, ale dopiero wtedy u Was pomyślałem: oto człowiek nowej wsi. Chłop świadomy, o głębokiej wiedzy i wysokiej kulturze. Czy się myliłem? — Nie.... Jesteście nim przecież, tow. Skulski.

— Ale — spytacie — po co ten wstęp? — Szybko śpieszę Wam wyjaśnić.

Nie tak dawno we „Wsi" w gazetce gminnej pisaliście o tym jak na zebraniu aktywu partyjnego Gminy Jastrzębie partyjniacy z Jankowa chwalili się, że wywiązali się z planowego skupu zboża, lecz o reszcie gromady, która w połowie jeszcze zalega, nie wspominali. „Gdzie jest mobilizacja gromady" — pisaliście słusznie. Biorę ten przykład od Was i do Was pragnę go też odnieść, ale na większą skalę.

Wiadomo wszystkim, że posiadacie wielkie zasługi jako korespondent, za te zasługi zostaliście odznaczeni. Ale czy mimo tych zasług nie mógłby ktoś powiedzieć — „Patrzcie, Skulski żyje jak na wyspie. Cóż z tego, że jest świadomy wywiązuje się ze wszystkich świadczeń na rzecz Państwa ponad plan, ale jak wygląda rzeczywistość wokół niego? W artykule o samokrytyce korespondenta dowodził: „Korespondent, to nie tylko ten, co pisze, że w spółdzielni kumoterstwo, że bogacz wiejski za pracę nie wypłacił, że to i tamto w nieładzie. Owszem ze złem trzeba walczyć, ale przede wszystkim działać na froncie ideologii, na froncie politycznym wychowania człowieka".

Te słowa trafiają w samo sedno. Sprawdzianem pracy korespondenta jest jak jego praca wpływa na przekształcenie środowiska, na kształtowanie się nowego człowieka. (Na ten temat też pisaliście tow. Skulski).

A spójrzcie teraz na swoją gromadę i w oparciu o własne wytyczne korespondenta, spróbujcie przeanalizować to, co wyniosła gromada z Waszej pracy w ciągu tych blisko 7 lat, pod względem podniesienia na wyższy poziom świadomości. Weźmy konkretnie Cackowskiego, Wiśniewskiego, Kępińskiego i innych. Niewiele, tow. Skulski.

A jak przedstawia się sytuacja w odległym od Was, może o półtora kilometra, Kolankowie? Nie wiem, czy wiedzieliście o tym, że tam wierzą w strachy. Do zeszłego roku przecież mieszkańcy Kolankowa, żyli w podnieceniu, wywołanym przychodzącą rzekomo po śmierci duszą, pewnej kobiety, oczywiście dało to księdzu okazję do pomachania kropidłem.

Albo weźmy o kilometr dalej położony Jenczywek i Nagorzynek. Mieszkaniec Nagorzynka Chojnacki święcie wierzy w Sybillę i w to, że prędzej nie będzie dobrze „aż Turek ruszy i konie jego w Wiśle nogi zamoczą". Są tam i inni, którzy wierzą w podobne brednie. A pamiętacie jak w czasie pożaru u Sieradzkiego na Jenczywku obstawiono ogień świętymi obrazami i zamiast ratować śpiewano pieśni nabożne?

Nasz Rząd Ludowy wiele wkłada wysiłku dla wydźwignięcia wsi z ciemnoty i zacofania, Wy też macie w tym zasługi, a jednak moglibyście zrobić więcej, nie poprzez zwiększony wysiłek, a raczej przez większe powiązanie się z aktualnymi problemami własnej gromady. Wiele pracy, którą poświęcacie ogólnemu ujęciu tego, co się w Polsce rodzi, w odniesieniu np. do Waszego terenu, przebrzmiewa najczęściej u Was bez echa. Oczywiście „nowe" kształtuje się i na Waszym terenie, ale Wy winniście je „przyśpieszać", bo przecież zdajecie sobie sprawę, że powołaniem korespondenta nie jest tylko sztuka pisania, a współbudowanie nowego życia. Korespondent winien nawet je wyprzedzać.

Wy macie autorytet, więc powinniście go użyć w walce. A wiecie, że nasz powiat lipnowski jest ciężki. Zawalona robota polityczna w dużej mierze wpływa na to, że jakkolwiek powiat jest typowo rolniczy a urodzaj też nie był taki zły — ze skupem jednak wlecze się w ogonie. Ofensywa wroga klasowego znalazła sobie podatny grunt na naszym powiecie. A Wasza praca w ogólnej mobilizacji sił mogłaby dać bardzo wiele.

W cytowanym już przeze mnie Waszym artykuje pisaliście, że pięknie rozpoczęta praca nad budową spółdzielni produkcyjnej w gromadzie gm. Jastrzębie, rozbiła się.

Pytam Was, tow. Skulski, gdzie wam była rozpoczęta praca nad budową spółdzielni i kto ją zaczynał? — Kto przygotowywał polityczną atmosferę do zawiązania spółdzielni! Przecież nie Żuchowski Adam (ten sam, który chciał żebyście mu korespondencję przedkładali do cenzury).

Powiedźcie tow. Skulski, czy na Waszej gromadzie mówi się chociaż trochę o spółdzielni, czy przygotowuje się grunt pod przyszłą przebudowę Waszej wsi?... Wciąż jeszcze nie.

Wy jesteście zwolennikiem spółdzielczości, ale cóż z Waszej deklaratywności, gdy gromada Was nie słyszy?

Pamiętacie jak w zeszłym roku mówiliście mi w Komitecie, że musicie jechać na spółdzielnię w powiecie, a potem spróbować dać jej ocenę. Wiecie, że np. spółdzielnia prod. w Wielgiem wówczas wegetowała. Wasze wyjaśnienie przyczyn i udzielenie rad, dałoby dużo, bo Wy potraficie pisać. Ta spółdzielnia służyła wrogowi klasowemu w okolicy za straszak, a przecież zło, które w niej było, dałoby się naprawić. Krótko mówiąc, Wasza praca w popularyzowaniu spółdzielczości dużo pomogłaby partii i samym chłopom.

— Dlaczego o tym wszystkim Wam mówię? — Dlatego, że wy — jak pisaliście: czujecie się odpowiedzialnym za zło, istniejące w lipnowskim. Ażeby jednak skutecznie z nim walczyć, trzeba również widzieć go konkretnie w perspektywie własnego środowiska. Wróg działa, tow. Skulski, i gdy tylko dostrzeże atmosferę uśpienia, przystępuje do ofensywy... Niedawno wczesnym wieczorem w Waszej wsi w obecności obsługi i dozorcy okradziono sklep GS-u.

Jak widzicie, to już nie ja — to fakty — Was prowokują. Można i trzeba pisać o Polsce, o Ameryce, ale pierwszym zadaniem korespondenta — panować nad własną okolicą.

— Nie chciałbym Wam dawać wytycznych do pracy, bo Wy je lepiej znacie ode mnie, a jedynie chciałem Wam zwrócić uwagę, że od samokrytyki deklaratywnej, czas już na samokrytykę czynną. Bądźcie dla nas przykładem i w tym najtrudniejszym obowiązku.

Franciszek Pudłowski

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel. Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6342,110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA". Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-12516